

UMCS  
LUBLIN

czys. 2552/1978/3

**W NUMERZE:**

# GLORIA MUNDI

Lesław M. Bartelski

# Brzozowski

str. 11

Opowiadanie Marii Bechczyc-Rudnickiej

str. 8-9

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# Kamena

LUBLIN 5 II 1978 Nr 3 (645)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Program budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego zakłada dalsze doskonalenie mechanizmu sprawowania władzy przez lud pracujący. Z tego też względu wielką wagę przywiązujemy do sprawnego funkcjonowania instytucji demokracji socjalistycznej, służących wyrażaniu woli ludzi pracy miast i wsi.

Z DEKLARACJI WYBORCZEJ FJN

Sylwetki kandydatów na radnych zamieszczamy na stronie trzeciej.

**90-LECIE URODZIN  
MARII BEHCZYC-RUDNICKIEJ**

## Skaldowie

**N**IEWDZIĘCZNA jest praca publicysty estradowego. Czasami życie stawia go przed koniecznością dania przyczeka akurat temu, kogo osobście wysoko ceni i lubi. Nie dziwnym jest sobie, że jesteśmy sympatykami Skaldów od pierwszych ich nagrań. Chłopcy z Krakowa już w momencie startu zaproponowali coś innego, niż wszyscy pozostali idole nastoletniej publiczności połowy lat sześćdziesiątych. Zamiast „Czekoladowego kremu” czy „Nie zadzieraj nosa”, Andrzej Zieliński serwował słuchaczom „Arie na

stronie G” Jana Sebastiana Bacha oraz liryczne piosenki z autentycznie poetyckimi tekstami. Tu też leży odpowiedź na pytanie, dlaczego grupa nie mogła od razu zdobyć szerokiego uznania. Owcześnie publicysta jeszcze nie dojrzała do Skaldów i kolorystyki ich utworów, czerpiących z najlepszych wzorów muzyki poważnej. Po latach można bez przesady stwierdzić, iż właśnie ten zespół wycho-

Dokończenie na str. 12



Zdjęcie Marii Bechczyc-Rudnickiej wykonane przez E. Hartwiga w r. 1917 w związku z powołaniem jej na stanowisko kierownika literackiego Teatru Miejskiego, w trzy lata po przybyciu do Lublina.

## MOTORYZACJA

# Naczelnik życzy szerokiej drogi!

Z PŁK. STANISŁAWEM DUBIELEM ROZMAWIA MACIEJ PODGÓRSKI

— Istnieje potoczna opinia, że milicja drogowa ma wyznaczony plan mandatów i żeby go wykonać, funkcjonariusze czają się na tak zwanych „rykowiskach”, gdzie kierowcy, najczęściej popełniają przewinienia — z tą kwestią zwracam się do pplk. Stanisława Dubieła, naczelnika Wydziału Ruchu Drogowego KW MO w Lublinie.

— Milicja nigdy nie miała i nie ma żadnych limitów ani wskaźników ilościowych w zakresie represji. Najlepszy dowód, że w drugim półroczu ubiegłego roku ikaraliśmy w województwie mandatami drogowymi o przeszło siedem tysięcy osób mniej niż w analogicznym okresie roku 1976.

— A tu tuż w ogóle ukaraliście w obu porównywanych okresach?

— Około 28 tysięcy oraz około 31 tysięcy.

— Cieszy ten spadek mandatów?

— Oczywiście. Choć na 230 tysięcy posiadaczy praw jazdy w województwie liczba ukaranych, mimo spadku, jest spora. W każdym razie z pieniędzy uzyskanych drogą mandatów milicja nie ma żadnych procentów, nagród czy czegoś w tym rodzaju. Kwoty te w całości przekazujemy do budżetu administracji terenowej.

— Ale jak funkcjonariusz chce mieć wynik, z którego zresztą go pan rozlicza, to jedzie na „rykowisko”...

— Liczba ściągniętych mandatów nie stanowi kryterium oceny pracy milicjanta. Bierze się pod uwagę głównie zapewnienie płynności ruchu w miejscach trudnych, kolizyjnych. Nad tym mają czuwać funkcjonariusze.

— Dostyc ciężko sprawdzić wpływ milicjanta na poprawę płynności ruchu, znacznie łatwiej wpływ z mandatów. „Tyle, powiada, ściągnałem, panie naczelniku”...

— Mamy metody sprawdzania porządku na obsługiwanych przez poszczególnych funkcjonariuszy trasach. To raz. A ponadto gdzie ma się służba drogowa ustawiać, jeśli nie w miejscach najbardziej zagrożonych, u szczytów wzniesień, na łukach szosy? I tam najczęściej kierowcy plać mandat, ponieważ popełniają wykroczenia.

— Wysokość mandatu ustala dowolnie milicjant na drodze.

Dokończenie na str. 5

# Teatr na gorąco

Mirosław Derecki

**„K**IEDY w dwunastym roku życia spędzałam z matką lato w Aix-les-Bains — pisze Maria Bechczyc-Rudnicka w książce „Godziny osobliwe” — (...) pewnego wieczoru uchyliły się nagle przede mną wielkie drzwi sali teatralnej. Była to zaledwie chwila, lecz w owej chwili powstało niezniszczalne wrażenie i zapamiętałam na zawsze rześkie oświetlony prostokąt i w nim wizję pełną romantycznego powabu”

Teatr urzekł więc Marię Bechczyc-Rudnicką od wczesnego dzieciństwa, chociaż poświęcić mu się w pełni miała dopiero w wieku dojrzałym. Przedsta-

Dokończenie na str. 9

„Kamena”

w Austrii

po

niemiecku

LUBLIN GRÜSST WIEN

GRÜNDUNGSJAHR 1933

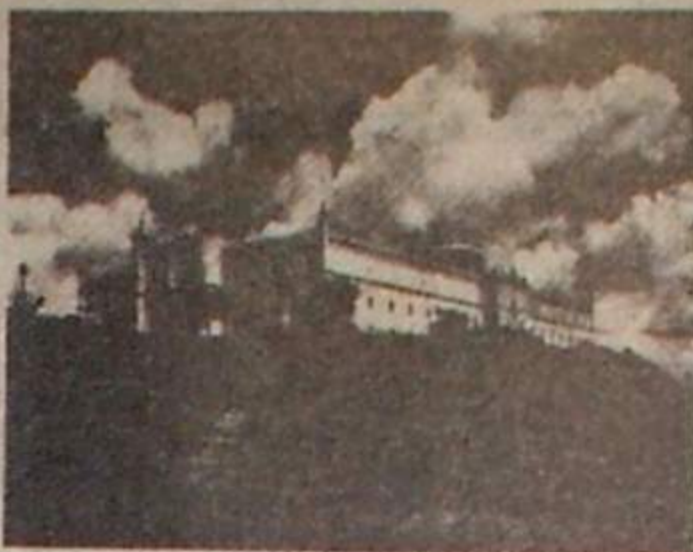
# Kamena

LUBLIN (VR POLEN) JANUAR 1978

DI KULTURSOZIALE HALEMONATSSCHRIFT

SONDERAUSGABE

## EINE STADT DER GESCHICHTE UND DER MODERNE



In der Stadt Lublin...

**F**...

## ÖSTERREICHER UND PUŁAWY

Von Maria Podgórska

...

## LANDSLEUTE SIND ÜBERALL

Von Doc. Dr. Władysław Kucharski

**A**...

## OFICyna LUBELSKA W 1978 ROKU

**P**RZESZŁO I min egzemplarzy książek ze znakiem koziolka skieruje w bieżącym roku na rynek czytelnicy Wydawnictwo Lubelskie. Plan wydawniczy objął zarówno literaturę społeczno-polityczną jak i piękną a także książki dla dzieci i młodzieży oraz przekłady prozy ukraińskiej.

Niezwykle atrakcyjnie przedstawia się dział naukowy i popularnonaukowy. Min. do rak czytelników trafi w br. ciekawe studium o polityce okupanta i postawach społeczeństwa polskiego w latach 1939-1944 Zygmunta Mańkowskiego pt. „Między Wisłą a Bugiem” praca Grzegorza Leopolda Soidlera „Z zasadnień filozofii prawa”, Andrzeja Nowickiego „Portrety filozofów w poezji, malarstwie i muzyce”, Henryka Zińska „Szkice o Anglii i Afryce” oraz Romana Tokarczyka „Współczesne doktryny polityczne” — pozycja Klubu „Człowiek—Świat—Polityka”. Adam A. Witusik przygotował książkę o „Zamowieniach Zamoceniu i Akademii Zamoczeń”, Ireneusz J. Kamiński szkice o życiu kulturalnym na Lubelszczyźnie w latach 1944-1943 pt. „Gorące dni kultury” Zaś pod redakcją Stanisława Tworka ukaże się tom zbiorowy „Z przeszłości kulturalnej Lubelszczyzny”. Wydane także zostaną książki poświęcone urbanistyce i architekturze Radomia oraz problematyce współczesnej Lubelszczyzny.

Wydawnictwo w roku 1978 rozpoczyna nową serię p-n. „Dokumenty naszej tradycji” w ramach której spopularyzowane zostaną najważniejsze w życiu państwa i narodu polskiego dokumenty ukazujące bogate tradycje historyczne oraz rewolucyjne. Min. ukażą się prace pt. „Program brukselski”, „Manifest Tymczasowego Rządu RP z 7 listopada 1918 r.”, „Manifest Zjednoczeniowy SDKPiU i PPS-lewicy”, „Deklaracja Krajowej Rady Narodowej z 1943 roku”, „Deklaracja Ideowo-progra-

mowa Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej z 15 grudnia 1948 roku”.

W dziale literatury polskiej czytelnicy otrzymają około 35 pozycji. Będą to nowe powieści, tom opowiadań współczesnych, prace biograficzne itp. Min. Jadwiga Dackiewicz przygotowała opowieść o gen. Franciszku Morawskim pt. „General i muzy” L. J. Okoń tom opowiadań historycznych pt. „Niezwykłe dzieje pięknej Anny” Jan Ziolkowski powieść historyczna o emigracji polskiej w Ameryce Południowej pt. „Słońce idzie od Polski”, Szeroko reprezentowana jest proza współczesna. Ukażą się min. powieści: Stanisława Glinki „Ludzie i pomniki”, Z. Fronczka „Tam skąd naciągnięto odchodzi rzadko a może wcale” Kazimierza Rosińskiego „Człowiek z duszą na ramieniu” M. Wołyn „Treby”, a także tom opowiadań M. Popiołka pt. „Prośba o przebaczenie” i eseje Z. Piłkowskiego „Na progu XXI wieku”.

Na liście wznowień znajdzie się m. in. „Znaki ogniste” E. Paukszty, „Zwykle sprawy niezwykłych ludzi” G. Puszer-Klonowskiej i „Chłopiec z Romanowa” M. Warneńskiej.

Czytelnicy nabożsi otrzymają „Galgankowy skarb” Zbigniewa Lenigrena, a starsi powieści: M. Józefackiej „Kto siele wiatr” Hannu Ożogowskiej „Chłopak na onak” Apolinarego Nosalskiego „Prawda w oczu” i Jerzego Szezwła „Powódź”. Ponadto w Bibliotece Młodych ukaże się powieść Czesławy Boczarskiej „Z rybałkami po Mazowszu”.

Miłośnicy poezji będą mogli zapoznać się z twórczością poetycką St. Gaszyńskiego, M. Makarskiego i T. Kwiatkowskiego oraz satyra M. Knorr i poezja ludowa. Ukażą się także „Utworki dramatyczne” Józefa Czechowicza i album o S. Żeromskim pt. „Portrety i krajoznaz” w opracowaniu Stefana Butryma.

W tym dziale prozy ukraińskiej wystąpią zarówno utworki klasyków — „Opowiadania” Iwana Franki i powieść Tarasa Szewczenki pt. „Kapitanowa” jak i powieści współczesnych pisarzy ukraińskich wśród których znaleźli się: J. Bodzyk, autor powieści współczesnej pt. „Blekit”, Oter Honezar — laureat nagrody leninowskiej za powieść „Tronka”, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego, Petro Hurinienko — autor powieści psychologicznej pt. „Pamięć serca” i Wadim Sobko autor powieści obyczajowej pt. „Stadion”.

Aktualnie na rynek czytelnicy przeznaczone książki Leszka Siemiona pt. „Na górach Roztocza”, w której przedstawiony został epizod z 1939 r. dotyczący tzw. drugiej bitwy tomaszowskiej oraz kolejne wydanie „Wołyn ludzi i medycyny” Adama Małewskiego. W niedługim czasie ukaże się „Polonia w Ameryce Łacińskiej” — praca przygotowana autorsko w Polskim Instytucie Soraw Międzynarodowych oraz kilka pozycji ze współczesnej literatury polskiej.

**Ryszard Dunin**

**DLUGICH LAT ZDROWIA  
I DALSZEJ OWCONEJ DZIAŁALNOŚCI  
PANI MARII BEHCZYC-RUDNICKIEJ  
W 90-LECIE URODZIN  
ŻYCZY KOLEGIUM REDAKCYJNE I ZESPÓŁ  
„KAMENY”**

## SZPALTA O SPORCIE

**M**ILIARD widzów ma oglądać transmisję telewizyjną z otwarcia Mistrzostw Świata w piłce nożnej i pierwszego meczu turnieju mistrzowskiego Polska — RFN. Tak nam powiedzieli sprawozdawcy telewizji polskiej. W Polsce w dniu 1 czerwca zgromadzi się przed telewizorami chyba około 10 mln widzów, kibiców znających się na sporcie i interesujących się piłką nożną od przypadku do przypadku.

Drużyna piłkarska Polski, która stawia sobie jako plan minimum zajęcie drugiego miejsca w grupie i awans do ósemki najlepszych zespołów świata, przygotowuje się do walki. Ma rozegrać cały szereg spotkań międzynarodowych, których przebieg i wyniki będą jednym z wielu kryteriów ustalania ostatecznego składu reprezentacji. Obserwacja spotkań i analiza ich zapisu — taśmy filmowe i ampeksowe — będzie pomagać trenerom i zawodnikom w eliminacji błędów w grze. Celem rozpoznania przeciwnika będzie już służyć nie dotychczasowy „bank informacji”, ale aparat na siłach naukowych „zespół analiz” pod przewodnictwem trenera Jacka Gmocha.

A więc pełna mobilizacja, która ma być drogą do wymarzonego celu — minimum powtórzenia sukcesu sprzed czterech lat.

Miliony widzów w Polsce oczekują na transmisję i sprawozdawców telewizyjnych, którzy będą komentowali przebieg spotkań piłkarskich. W związku z tym nasuwa się taka refleksja: czy nie można by wykorzystać transmisji telewizyjnych dla uczenia widzów pięknej polskiej leżka, którym powinni mówić sprawozdawcy sportowi. Powinni ale nie zawsze mówia Grypsera czy slang dziennikarzy sportowych, przenosi się na język potoczny, i mówia nim potem wszyscy Polacy. Do starych powiedzeń — „w granicach” zamiast około lub ponad, „golkiper” zamiast bramkarza i wielu innych — doszło obecnie nowe „wzięcie z grupy” — ma oznaczać „awansować do dalszych rozgrywek” a znaczy bardzo niewiele, ponieważ wzięcie można i do przodu i do tyłu i na boki. Ale specjalistom o sportowej grypsery bardzo przypadło do gustu.

Proponuje więc obóz treningowy dla sportowców sprawozdawców telewizyjnych i ewentualnie radiowych. Na głównego trenera można by powołać znanego dziennikarza z telewizyjnym i widzom prof. Pisarka, który uczy na razie leżka polskiego prezenterów „Studia 2” a na jego asystenta jedynego mówiacza ludnym językiem sprawozdawcę Bobdana Tomaszewskiego. I tu podobnie jak piłkarzom, byłoby niezwykle pomocne także ampeksu, analizowane przez profesora.

Przy okazji nauczylby on dziennikarzy sportowych mówiaczy, a za ich pośrednictwem i pisarzy właściwego użycia imiesłowu współczesnego, który dziś zastępuje niezdarnie imiesłów czasu przeszłego. Nigdy chyba we współczesnej prasie w sprawozdaniu sportowym mówionym czy pisanym nie spotkaliśmy formy: „strzeliwszy bramkę zapewnił...”, a przecież strzelając jeszcze nie wie, czy trafi.

A prof. Pisarek przed kilkunastu miesiącami dokładnie opisał funkcje tych imiesłowów.

Napisawszy tych kilka uwag pod adresem sprawozdawców sportowych, życze im, by przebywając na wspomnianym obozie nie tracił czasu. Skrupulatna analiza własnych błędów przypomni im te wszystkie tańki leżka, które „wyszły” z pamięci ale — niestety — nie w górę.

tgw

## Robotnik

**M**ARIAN BAK, 48-letni dynamiczny mężczyzna, pracuje w jednym z zakładów związanych przed paru laty do lubelskiego „Agrometu”; pracuje już dwudziesty trzeci rok i to jest szmat czasu, żeby dobrze poznać sprawy robotnicze w fabryce, szczególnie gdy się samemu jest robotnikiem, ostatnio brygadystą na montażu młocarni.

Chodzę z Bakiem po fabryce i widzę, jak na jego widok ludzie w kombinazonach uśmiechają się szeroko i mówią serdeczne „cześć”. W ten sposób uzyskuje empiryczną odpowiedź na pytanie, które mam zamiar potem zadać — czy załoga uważa, że on dobrze reprezentuje jej interesy wobec kierownictwa i czy przypadkiem nie kwalifikują go jako poganiacza?

Mariana Baka pytam, po co mu to wszystko? Te rozmaite działania społeczne, kiedy trzeba czasem komuś się sprzeciwić, na odciśnięcie narazie. Kiedy trzeba tracić czas na zebrania. Kiedy się jest członkiem egzekutywy KM PZPR, piątem KZ PZPR, członkiem egzekutywy oddziałowej organizacji partyjnej. Czy nie lepiej żyć w myśl zasady: za pięć trzecia bierz kapotę, zegnaj mistrza i robotę?

Pytanie jest, oczywiście, prowokacyjne i BAK natychmiast mnie wy-czuwa. Odpowiada krótko: „Ktoś to musi robić” i dodaje jeszcze, że lubi robotę społeczną. Nie że czuje się potrzebny, lecz po prostu lubi tę robotę. A znany jest z tego, iż potrafi wystąpić twardo, bez pardonu dowodząc swoich racji, choć do mnie uśmiecha się łagodnie i zbyt rozmownym się nie okazuje.

Z jakimi sprawami do niego ludzie przychodzą? A różne takie codzienne sprawy, choć niedawno trafiła mu się kwestia bardziej zasadnicza. Pracownica mieszkała niemal w oborze przy ulicy Zemborzyckiej, nie miała pieniędzy na spółdzielnię. BAK zabiegał dwa miesiące, uruchomił swoje

sadniczą szkołę mechaniczną, poszedł do wojska, do marynarki, gdzie trzy lata piływał na holowniku. Wrócił i jako najstarszy w rodzinie stanął do pracy w charakterze ślusarza, w zakładzie, w którym pracuje do dzisiaj.

Państwo Bąkowie żyją skromnie w dwu pokojach z kuchnią, z siedmiu tysięcy, które głowa rodziny zarabia. Córka robi maturę w liceum ogólnokształcącym i wybiera się na pedagogikę specjalną na UMCS. Syn uczy się w technikum mechaniczno-energetycznym i myśli o studiach technicznych. „Chęć iść na studia i niech idą na studia, dzisiaj młodzież powinna się uczyć” — powiada ojciec.

Na rozrywki nie ma specjalnie czasu, pracuje się na dwie zmiany i jeszcze te funkcje społeczne. Odpoczywa się przy telewizorze, jak tamie dobra rozrywka, no i na spacerze z żoną. Dzisiaj nie zdążył w domu zjeść śniadania, bo wstał o piątej rano, wypił tylko herbatę, dopiero w zakładzie pokrzepił się zupą regeneracyjną z wylądą mięsna, całość trzy złote kosztuje robotnika, resztę finansuje przedsiębiorstwo. Ma kilkunastę tysięcy wkładów w kasie zapomogowej i dobrze by było kupić pralkę automatyczną, tylko gdzie ją dostać? Podstawową mechanizację domową rodzina posiada w komplecie, ale własnoręcznie trzepaczką najlepiej się dywan wytrząpie, do odkurzacza mając zaufanie ograniczone.

Nie ma powodów do narzekania na życie, choć dzisiaj dzieci mają łatwiejszy start. Synowi i córce składa na książeczki mieszkaniowe i dziewczyna ma już cały wkład uzoierany, całopakowi też niewiele brakuje. Każde, jak stanie na nogi, otrzyma po te dwa pokoje z kuchnią.

W kończącej się kadencji Marian BAK był radnym i teraz kandyduje w dzielnicy Stare Bronowice. Jako radny był w komisji zaopatrzenia i usług MRN, bo uważa, że handel i usługi bardzo ważny mają wpływ na codzienne życie, które się przecież składa z drobniaków. Kontrolował zakłady gastronomiczne. Raz w restauracji „Czechowianka” patrzy, a tu elektryk wymienia oświetlenie, gdy konsumenci siedzą na sali. Patrzy

## Dyrektor

**J**AK się jest prezesem spółdzielni mieszkaniowej, poniekąd myślał: „Tea to sobie każal cichem połączyć dwa M-7 i mieszkać w ośmiu pokojach z dwoma kuchniami i czterema łazienkami”. Tymczasem Stanisław Zaczek, poprzednio kierujący spółdzielnią „Motor” a obecnie spółdzielnią „Czechów”, od kilkunastu lat posiada dwa pokoje z kuchnią o łącznej powierzchni 43 metrów kwadratowych w starym budownictwie ŻOB-owskim. Nie posiada natomiast działki, dachu i nie poluje. Z wieścią o ruchomości ma prezes „dużego lata”, rocznik 1974, sprawującego się — odpukać — pierwszorzędnie.

W tym mieszkaniu państwo Zaczekowie wychowali syna, który jest już dorosły, żonaty, mieszka osobno, kończy Politechnikę Lubelską i wzbogacił się o najradośniejsze hobby — wnoszenie. Na inne prywatne umiłowania Stanisław Zaczek nie ma czasu. A w ogóle to prezesem, czyli przewodniczącym zarządu spółdzielni, jest się teraz społecznie, natomiast profesjonalnie prezes jest dyrektorem Spółdzielni Mieszkaniowej „Czechów” z pensją dziesięć tysięcy.

Należy do generacji, której wojna przerwała edukację szkolną i przyspieszyła dojrzałość życiową. Koniec wojny zastał go pod Berlinem jako żołnierza I Armii Wojska Polskiego, który miał zaledwie 17 lat, lecz dodał sobie jeszcze dwa, bo inaczej by go do wojska nie przyjęło.

Zdemobilizowany, stanął do pracy w cukrowni Strzyżów jako robotnik, podejmując w ten sposób rodzinne tradycje zawodowe dziada i ojca. A ponieważ obok chęci szczerzej coraz bardziej zaczynała się przydawać matura, więc skończył szkołę średnią, potem zaś — cały czas pracując — studia na UMCS, gdzie uzyskał tytuł magistra praw (tak to się wtedy nazywało). Wspomina, że studiował razem z obecnym rektorem UMCS — Wiesławem Skrzydło. To jest twarde pokolenie.

Stanisław Zaczek jest szefem spółdzielni, która wywołała w Lublinie największą, jak dotąd, eksplozję mieszkaniową. Na Czechowie powstaje największa dzielnica miasta, mająca liczyć do roku 1981 — 50 tysięcy mieszkańców, znacznie więcej niż niejedno małe wojewódzkie „Motor” czy LSM w najlepszych czasach oddawały po 1100, 1200 mieszkań rocznie. W bieżącym roku „Czechów” ma przekazać około 2000 mieszkań. Pod koniec roku w dzielnicy żyć będzie blisko 15 tysięcy ludzi. Z tej arytmetyki wynika, że w najbliższych latach przyspieszenie musi być jeszcze większe niż dotąd.

O Czechowie mówiło się, że będą tu głównie tak zwane podwyższone metraże. Tymczasem słychać, iż metraże nadal skromnie.

Obecnie w Polsce istnieje trzy normatywy mieszkaniowe. Przykładowo dla M-3 będzie to 39 metrów kwadratowych, 43 i 50. Dla M-4 odpowiednio 43, 56 i 59. W ubiegłym roku oddaliśmy ponad 20 procent mieszkań w metrażu średnim. W bieżącym roku oddamy ponad 60 procent w metrażu średnim i dużym. Od następnego roku znaczący budować już tylko duże metraże.

Lokatorzy na własną rękę podwyższają sobie standard mieszkań. Zrywają linteks i kładą mozaikę, skuwają tynk i olejne lamperie a kładą glazurę. Sprawy znane. Prowadzi to do marnotrawstwa robocizny i materiałów, zakupionych przez spółdzielnię. No i dodatkowo, niepotrzebnie kosztują dla lokatorów z tym się wiąże. W innych miastach zaczyna się te rzeczy porządkować. Przychodzi przyszły lokator i mówi: „Tu będe miał mozaikę, nie kładźcie linteksu, tu będzie glazura, nie malujcie ścian”. Czy w Lublinie dożyjemy kiedyś takiej sytuacji?

W styczniu powołaliśmy własny zakład remontowo-budowlany, mający służyć właśnie tym osobom, które chcą podwyższyć standard mieszkania. Jeśli przyszły lokator zgromadzi materiały (mozaikę, glazurę), bo te na razie możemy zapewnić w niedużych ilościach, to my oferujemy robociznę jeszcze na etapie budowy mieszkania, położymy czołwiokową glazurę i mozaikę. Rozliczenia będą kłopotliwe, ale musimy iść ludzom na rękę.

Bardzo pięknie. Trzyosobowa rodzina posiada M-3 z glazurą, parkietem i pawlaczami, co sprawia, że lokal jest znacznie droższy od standardowego. Rodzą im się bliźniaki i naturalna kolejka rzeczy ludzie chcą zamienić mieszkanie na większe. A ich następca, prezydent do opuszczanego M-3, powiada, że

nie chce glazury, parkietu i tak dalej, albo że chce, lecz dopłaci tysiąc złotych. Wtedy tylko śmieć i płakać?

— Zdecydowaliśmy w naszej spółdzielni inaczej, ponieważ sytuacje, o jakich pan wspomina, zdarzały się, gdy pracowałem w „Motorze”. Na Czechowie



Fot. Zb. Jaśkiewicz

wie lokator mieszkania o podwyższonym standardzie zgłasza ten fakt w spółdzielni, która dokonuje wyceny dodatkowych urządzeń i zakłada odpowiednią kartotekę. Gdy dochodzi do zamiany, mówimy następcy: „Będzie to pana kosztowało, po odliczeniu amortyzacji, tyle i tyle więcej niż mieszkanie standardowe. Chce pan brać, proszę bardzo. Nie, to trzeba będzie trochę poczekać lub brać inny lokal”.

— To mi się bardzo podoba. Na LSM o czymś takim w ogóle nie słyszeli.

— Zarząd spółdzielni musi być sprawliwym reprezentantem interesów członka, który opuszcza zajmowany dotychczas lokal, jak i tego, który o mieszkanie się stara.

— Dużo osób mdleje u pana w gabinecie lub robi arabskie awantury?

— Zdarza się. Mieszkania to społecznie najbardziej chybła „nerwowa sprawa” i obowiązek dyrektora spółdzielni mieszkaniowej nie należy do najspokojniejszych. Ponadto nie wszyscy wiedzą, iż od jakiegoś czasu zarządy spółdzielni dzielą tylko 25 procent zasobów mieszkaniowych, resztą zostaje do dyspozycji przede wszystkim zakładów pracy. W zeszłym roku było na Czechowie-66 dysponentów lokali spółdzielczych. Ma to znacznie więcej dobrych stron niż złych, ale czasem narazie małe to dość dramatyczne rozmowy z niezadowolonymi członkami spółdzielni.

— Podobno na Czechowie powstała usługowo-handlowa?

— Tak nie jest. Powiem jedno. Gdy rozmawiamy podczas sekcji z członkami oczekującym na mieszkanie, pytamy: „Co wolcie, jeszcze trochę poczekać i wprowadzić się do osiedla, gdzie będzie sklep, czy skryć się zamieszkać w osiedlu bez sklepu?”. Odpowiadają: „Wpierw dawajcie mieszkania”. Wprowadzą się, urządzią, obiją i wtedy zaraz pytają: „A dlaczego nie ma sklepu?”.

Pod okiem Stanisława Zaczeka rośnie największa dzielnica Lublina i on do swoich licznych funkcji społecznych, do swoich zadań działacza ze szczebla KM PZPR, dopisze, być może, jeszcze jedno — rolę radnego.

Pracuje i działa przy rozwoju miasta i jako radny chciałby się poświęcić sprawom komunalnym. Szczególnie boży mu na sercu sprawa porządkowania starych dzielnic Lublina, bo — jak powiada — i tam ludzie muszą żyć coraz wygodniej i coraz dostatniej.

Katalog potrzeb jest długi i Stanisław Zaczek wymienia jednym tchem: przebudowa ciągów pieszych i jezdnych, porządkowanie ulic w ogóle, przyspieszenie budowy miejskiej oczyszczalni ścieków, dalsza modernizacja układu komunikacyjnego. „Niektóre inwestycje muszą przyjąć, innego wyjścia nie ma”.

Stanisław Zaczek nie działa dla odznaczeń, ponieważ ma już najwyższe odznaczenia. Wierzy, że dużo można załatwić czynami społecznymi, wierzy po prostu w czyn, ponieważ jest działaczem społecznym z prawdziwego zdarzenia. Dojście do domu, w którym mieszka, sam przed laty budował z innymi lokatorami. Spółdzielnia „Czechów” sżykuje na własną całą batalię czynów przy porządkowaniu dzielnicy wokół inwestycji zakończonych.



Fot. Zb. Jaśkiewicz

kontakty wśród ludzi dobrej woli i kobieta otrzymała pokój z kuchnią.

Na co dzień to różnie — czasem są opóźnienia w dostawach materiałów produkcyjnych i trzeba przez komitet zakładowy interweniować, bywa niedostateczne ogrzewanie hal fabrycznych, bywają zakłócenia w zakładowym dowoździe ludzi do pracy. Bywają jeszcze drobniejsze, lecz uciążliwe kwestie, które dyrekcja nie zawsze dostrzega i docenia w pełni ich wagę, a wówczas BAK idzie i mówi, jak potrzeba, to i kilka razy.

A przecież nie ma lekko, albowiem brygada BAKa pracuje w akordzie i kiedy on musi opuścić stanowisko pracy, wówczas ubywa jedna para rąk, reszta brygady pracuje za niego, a w końcu każdy chce zarobić. Niemniej kiedy BAK jako delegat na II Krajową Konferencję PZPR wybierał się do Warszawy, zresztą w towarzystwie dyrektora kombinatu „Agromet”, też delegata, brygada zobowiązała się pod nieobecność BAKa zmontować o jedną młocarnię więcej niż zaplanowano i zadanie wykonała.

Marian BAK pochodzi z wielodzietnej rodziny robotniczej. Skończył za-

dalej, a tu lada chłodnicza zepsuta, zaś w drugiej na kupie siedzie, mięsiwo, jaja. Musiał interweniować.

Albo inny przykład. Był w dzielnicy problem z piecyzmem, brakowało często świeżego. Pyta kierowniczkę jednego ze sklepów, okazuje się niby, że piekarnia nawala. Pyta w piekarni, okazuje się, że sklep nie w porę zamawia i za małe ilości. W takich przypadkach radny sporządza protokół i wysyła do dyrekcji LSS, która jest zobowiązana sprawę wyjaśnić i udzielić odpowiedzi radnemu. Tak więc demokracja istnieje — zdaniem Mariana BAKa.

Kiedy sobie rozmawiamy o sprawach dużych i małych, przychodzi wiadomość, że bufet zakładowy, prowadzony przez LSS, znowu nieczynny. Bufetowa się zwolniła, twierdząc, że dyrektor LSS ją usprawiedliwi, nawet kartki nie wywiesił dzień przedtem, że bufet czynny nie będzie, a przecież ludzie chcą sobie coś kupić na przekasę. „Trzeba tę sprawę załatwić” — powiada Marian BAK. I już musimy się zegnąć, bo właśnie udaje się na dyżur w obwodowym Komitecie Wyborczym.

## POLONIJNE SPOTKANIA W RFN (II)

**P**RZEDSTAWIENIE „Hamleta” w „Probentheater” przy Haldenstrasse reklamują ciekawe, barwne plakaty, na których nagie lub prawie nagie oraz wysmukłe panie demonstrują ochotę na mord z miłości: w dłoniach dzierżą kilkurzemienne bicze a’la „kot o siedmiu ogonach”, oczy mają wielkie i przymglone, a usta ich przypominają wielkie, krwawe przyssawki. Pokochać taką kobietę a raz w życiu — jeśli nie spuści się jej samego solidnego manta przy pomocy tych samych chociażby rekwizytów, dostępnych zresztą w sex-shopach po całkiem umiarkowanej cenie. Wobec takiej zapowiedzi nasze „Białe małżeństwo” z Wrocławia zaczęło w moich wspomnieniach nabierać cech krotchwili dla dzieci z klasy przedszkolnej „dziesięćlatki”.

Odszukanie Haldenstrasse okazało się przecież dość trudnym zadaniem. Nie miał go samodzielnie rozwiązać motor — bilet, choć biała koszula z krawatem i gładką twarzą przypominał raczej przewodnika naszych ekskursji „Cebisu”, a nie tramwajarza. Dopiero po dwóch konsultacjach z centralą, prowadzonych przy pomocy radiotelefonu, w który wyposażony jest każdy środek komunikacji miejskiej w RFN, połapał się w geografii i zażądał ode mnie za bilet 2,30 marki, czyli prawie tyle, ile kosztuje hot-dog w „grilu”. Komunikacja jest tutaj droga, sami Niemcy to potwierdzają. Zresztą Niemcy liczą się z każdym fenikiem, nie raz miałem się o tym przekonać.

Dziwnym w końcu do owego teatru w starzyńskim Bochum — Hamm, dość mocno zniszczonej nalożami podczas ostatniej wojny: 56 proc. miasta leżało wtedy w gruzach. Gdyby nie stosowny napis na niekształtnej burdoli, nigdy bym zresztą nie wpadł na to, że mam przed sobą „siedzibę Melpomeny”, mówiąc językiem krytyków teatralnych. W każdym orzeczeniu miejscu może dziać się sztuka, choć nie w każdym gołe damy mogą okładać partnerów pełcami, czy inną bronią, powiedzieć, erotyczną...

Wchodzi do obszernego przedsiönka (?) gdzie bufet kwitnie gulaszem węgierskim à 2 marek porcja, coca-cola i filiżankami kawy — no i dretwieję. Oto bowiem widzę spory tłumek nacierający na młodego kasjera, który bezradnie macha ludziami przed nosem dwoma ostatnimi biletami! W desperackim odruchu nachylam się jednak do chłopaka i mówię, że jestem polskim dziennikarzem, żywo zainteresowanym „Hamletem” w reżyserii Petera Zadka, o którym to nowatorze to i owo już słyszałem. Ten zaś przywołuje jakąś młodą, ładną i szeroką w biodrach dziewczynę, która z uśmiechem bierze mnie za rękę, wiodzie przez tłumek niedoszłych widzów i sadowi w bardzo dobrym miejscu sali — życząc miłych wrażeń.

Nie wiem do dzisiaj, czy to wyróżnienie mam zawdzięczać pośrednio Józefowi Szajnie, cieszącemu się wielkim uznaniem w kręgach bardziej wyrobionej publiczności teatralnej RFN, czy też Andrzejowi Waitzie, który niegdyś reżyserował na scenie Schauspielhaus w Bochum — macierzystej instytucji zespołu „Hamleta” kierowanej zresztą przez pana o raczej słowiańskim nazwisku: Lew Bogdanow...

Pomieszczenie, w którym za chwilę przedstawia szekspirowskie dzieło, okazuje się być hala nieczynnej fabryki, bez większych nakładów inwencji scenograficznej przystosowana na okoliczność teatralną. Szare zasłony zakrywają wszystkie okna, pod przeszklonym dachem szwedzkim rozwieszono lizeniówki, na rozległym prostokacie podłogi ustawiono rzędy zwyczajnych krzeseł i drewnianych foteli, które z trzech stron otaczają oparte o jedną ze ścian podium, przechodzące stopniami w obszerny wybieg. Całość przypomina amfiteatr skrzyżowany ze sceną arenową — precyzyjniej nie mogę określić tej przestrzeni.

Rzucam okiem na widownię: mam przed sobą „tort pokoleniowy”, złożony z zadbanych starszuch w towarzystwie równie wiekowych nanów, z dobrze odżywionych średniaków (przewodzących zupełnie standardowo w garnitury i kielki z „Kaufhofu”) i z młodzieży od lat 30 do 15—12: ci najmłodsi znajdują się pod opieką rodziców. Wszystko wskazuje, że Peter Zadek rzucił nam w twarz „Hamleta” spreparowanego w sosie awangardy a tu tymczasem widownia demonstruje wartości tradycyjne — jak ład, porządek, rodzina, schludność. Nawet ci, którzy siedzą na podłodze w pobliżu wielkiej i pustej na razie ramy

obrazu, sprawiają wrażenie ludzi spokojnych, kulturalnych. Tak na oko, widownia mieści około 400 osób.

Metryki rekwizytów także są różne. Na podium stoi manekin krawiecki, obok stolicek z „Playboyem” na blacie, jakieś krzesła i walizka z tektury Poniżej, w odległości 3 metrów ode mnie, widnieje fisharmonia i organy Hamonda... Wszystkiego po trochu: żeby było ciekawiej, żeby inaczej, żeby odbić się od norm i konwencji.

## W tle:

# Ćwiartowanie Poloniusza

Ireneusz J. Kamiński

Wala w wielki gong i od tego momentu rozpoczyna się kilkugodzinna bieżąca aktorów, połączona z wrzaskami, kwikami i śmiechem. Oglądam parodię „Hamleta” rozwijającą się w niezłym rytmie, faszerowaną wyglupem, który miejscami przelamuje się w autentycznie groźne sekwencje, aby znów powrócić do swojej skóry. Najbardziej przecież wstrząsające jest to mordowanie „Hamleta”, sztuki tyle uniwersalistycznej w swym przesłaniu ideowym i filozoficznym, co związanej z rzeczywistością polityczną czasu swego powstania.

Parodia jest brutalna. Zaraz na początku, niemal potykając się o nogi widzów z pierwszego rzędu, wypada na

disponujący żelazną kondycją) ujawnia jakby kazirodcze skłonności, oblatując mamie piersi gestem wcale nie dziecięcym, ale to jednak mieści się w jakis sposób w ramach podstawowej motywacji działania naszego bohatera, utożsamianej przez wielu badaczy Szekspira z niezgodą moralną i emocjonalną księcia duńskiego na kazirodczy związek jego matki z rodzonym bratem jej zabitego męża — króla. Owszem, „Hamlet” Petera Zadeka jawi mi się już nie tylko jako parodia, ale jako parodia przewrotna, prowokująca ludzi „demontażem wyrazowym” klasycznego dzieła oraz aluzjami do istoty funkcjonowania współczesnej władzy, lecz co to ma wspólnego z sado-maso-

Impreza rozwijała się w dwóch okragłych namiotach cyrkowych mieszczących po 800 i 1200 widzów i otwartych właściwie non-stop. W każdej chwili można było wejść do wnętrza i wyjść ze spektaklu, można było jeść i pić na widowni, co sprawozdawca „Quicka” uznał za szczególnie ważne właśnie w przypadku „Hamleta” Zadeka, trwającego 6 godzin i przezwanego „mamucim przedstawieniem”. Rzeź szekspirowska (?) cieszyła się przy tym wyjątkowym zainteresowaniem dzieci, które śmiały się serdecznie — w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Nie gorszyło to przecież dorosłych, jako że festiwal odbywał się pod hasłem „Wolno się śmiać!”

chistyczną treścią plakatu, który jeszcze sprzedają w przedsiönku hali po 5 marek sztuka?! Duch komercji — myślę — i znajomość obywatelskich oczekiwań zaprojektowały ów barwny anonas...

Wyfraczony Hamlet przebijają pierś ukrytego za kotarą Poloniusza i na białym gorsie koszuli ojca Ofelii wybucha strumień krwawej mazi Cizra w sali. Hamlet zaciąga ciało starego za kulisy, a po chwili wychodzi stamtąd przepasany rzeźniczym fartuchem, w jednej pokrąwionej do łokcia ręce trzymając topór, w drugiej — wiadro z resztkami porąbanego Poloniusza, które rozrzuca — ręką, nogą druga ręką — po scenie. I wtedy publiczność eksploduje śmie-

„Bochumer Ensembles” zwrócił ponadto uwagę publiczności i krytyki: manifestacją sceniczną pt. „Atlantis”, opartą na tekstach i kwestiach wymyślonych przez samych aktorów, a w istocie przedstawiającą teatr in statu nascendi. „Ale niektórzy, przez polityczną agitację, za daleko przekroczyli granice sztuki”, informował „Quick” mając na uwadze amerykański „Living Theater”, konkretnie — obraźliwą dla RFN wypowiedź lidera grupy, Juliana Becka. W konsekwencji Th. Petz musiał za delikwenta złożyć kaucję w wysokości 2000 marek, próbując zarazem zneutralizować incydent takim komentarzem: „Jeśli przechodzi się przez targowisko (aluzja do charakteru festiwalu — I.J.K.) nie należy dziwić się, że panuje tam krzyk”.

Festiwal monachijski obejrzało 40 000 osób. Buśnie kwitnie życie teatralne w RFN — zarówno na scenach 200 teatrów posiadających stałe siedziby, jak też na deskach składanych okazjonalnie i awangardowo. Powstaje przy tym pytanie, czy sztuka ta wyzwala ludzi ze zbiorowych frustracji i kompleksów, czy też je pogłębia? Czy serwowanie widzom ostrego erotyzmu w teatrze miasta Bochum (także w „Pannie Julii” Strindberga) ma sens głębszy, czy jest komercyjną odpowiedzią na oczekiwania publiczności czytającej magazyny porno i odwiedzającej „Non-Stop-Kino” przy „Sex-Shop-SB” który oferuje ponad 2000 różnych przedmiotów podreźnego zaspokajania zmysłów, łącznie z tzw. intymnym wibratorem dla pań?

Nie odpowiem na te pytania: za mało poznałem ten kraj, którego północ, jak mówią, zasadniczo różni się od południa, także w sensie społecznym i gospodarczym. A może nie są to problemy tak znowu istotne, tylko subiektywnie i przypadkowo wyizolowane z całości kultury bardzo różnorodnego, sadząc na prasie, życia teatralnego Republiki? Bo czy nie wprowadza pewnego zamieszania do tych „modelowych ostan” fakt niemal powszechnej miłości Niemców do klasyki operowej?!

Tak sobie dumam nad „Quickiem”, spożywając różne śniadanie w restauracji herr Poschleda, złożone z ogromnego półmiska wedzonej szynki, kawioru budowlanych i kiełbasy przyprawionej w połowie jakąś tustą roślinożościa, co wszystkim tutaj wydaje się normalne, a przy tym zdrowe.

Już wstaje, gdy do sali bankietowej, zaraz obok, wtacza się tłumek w czerni bezwzględnie żalobnej. Okazuje się, że w odległości 50 metrów od „Czerwonego Jelenia” znajduje się cmentarz, a tu właśnie, w restauracji z polską flagą na głównym maszcie, uczestniczy ceremonii grzebalnej od dawna spotykają się na styku.

Idę na ten cmentarz: okolony niskim, ozdobnym murem, zorganizowany geometrycznie, z płaskimi mogiłami (urazy) pokrytymi trawką, kwieciami i, od czasu do czasu, plastikowymi wieńcami. Na pionowych płytach nagrobkowych, ukształtowanych nowoczesnie w szlachetnym, drogim materiale znajduje się sporego bezczelnie nazwiska: Nowak, Walichnowsky, Kamiński...



Scena z Hamleta w inscenizacji i reżyserii Petera Zadka

wybieg Duch Ojca Hamleta z długą ręką w dłoni, przyodziany ni to w strój z epoki ni to z niemieckiego lombardu. Jakis „techniczny” potęgule spirytualną atmosferę, czyniac wokół zjawy opary — przy pomocy specjalnej maszyny. Duża kreuje młoda aktorka o dziewczęcym nazwisku Magdalena Montezuma... Jeszcze bardziej upokorzono starego, niezjadającego króla w scenie z Hamletem, kiedy to księżka duńska przysięga pomścić krzywdę rodziciela: przy końcu spotkania Duch w ponochu wesołguie się nad dywan pokręcający środek wybiegu...

Aktorzy błętnie, wygłaszają kwestie, Klauzjusz sugestywnie przelataca się w całkiem współczesnym polityka, ale obywatelnie plakatu jakoś nie mogą doczekać się spełnienia. Owszem, Królowa Gertruda (Ewa Mattes) nierządka wstępuje obnażona do pasa, soore konuiki pierś mając pokryte czerwona, a sutki — czarna farba, w czym konkurencji ze świetnie zbudowana, smukłą Ofelia w białych pończobach i plisowanej, jasno-beżowej spódnicy, ale to nieważne z tym z tenj Owszem Hamlet (Ulrich Wildgruber, aktor elastyczny i

chem czystym. Śmieją się starszaki siwowłose i dzieci 12-letnie, śmieją się średniacy w garniturach i ci ulokowani wygodnie na podłodze... Śmieją się z zabawnego stylu, w jakim Hamlet rauca atrapy ludzkiego ścierwa...

Czy jest to zwycięstwo teatru prowokacji, czy też klęska ludzkiej wrażliwości? A może jest to najnormalniejsza historia, która mogłaby się dziś zdarzyć w teatrze każdego jako tako ucywilizowanego kraju?!

Wracam do hotelu.

Nazajutrz znajduje w „Quicku” relację z „Festiwalu Teatralnego 77”, który odbył się w Monachium, a w swoim charakterze nawiązywał po trosze do znanej imprezy w Avignone i amsterdamskiego „Festiwalu Głusców”. Thomas Petz, inicjator i patron ideowy spotkania w Monachium, oświadczył, że już od dawna marzył o znalezieniu miejsca dla swobodnej ekspresji grup teatru niezależnego. „Wolny teatr — dodał — jest teatrem fantazji i odwagi, zmierzającym do granic sztuki i szukającym nowych zwolenników”.

## JERZY PLEŚNIAROWICZ NIE ŻYJE

**N**IEDAWNO pisaliśmy o Nim z racji 40-lecia pracy twórczej, teraz piszemy z racji jego śmierci. Jerzy Pleśniarowicz zmarł dnia 13 stycznia 1978 r. w Rzeszowie, przeżywszy lat 58.

Dziwnie łączyć z czasem przeszłym nazwisko, które zawsze uchodziło za synonim obecności w czasie teraźniejszym. Trudno uświadomić sobie, że już żadnej z inicjatyw nie podejmie ktoś, kto nieustannie emanował pomysły, aktywność, inteligencję, życzliwość dla innych, gotowość niesienia pomocy. Żywość umysłu i młodość serca.

Jerzy Pleśniarowicz ostatnie ćwierć wieku nie mieszkał w Lublinie, ale emigrując z pamięci lubelskich znajomych. Jakakolwiek rozmowa potra-

cająca o lubelskie czasy dawniejsze nie może pominąć Jego osoby tak istotnie obecnej we wszystkim, co działo się tu w kulturze, literaturze, życiu umysłowym.

Młodość szkolna Pleśniarowicza — a uczęszczał do gimnazjum Słazica w Lublinie — to energiczny start w dziedzinie poezji i krytyki literackiej. Zainteresowaniami na tym polu zarządzał całe swoje otoczenie, miał niebywale żywotywny wpływ oddziaływania na ludzi. Jego pracy zawdzięczało uczniowskie środowisko istnienie młodzieżowego czasopisma „W słońce”. 18-letni Pleśniarowicz zadebiutował w tygodniku kulturalno-literackim „Pion” a 19-letni był już autorem zbioru wierszy opublikowanego przez jedno z najpoważniejszych wydawnictw Ferdynanda Hoësicka w Warszawie.

Okupację przeżył w Nalęczowie wykładając w tamtejszej szkole rolniczej i nawiązując kontakty z oddziałami Batalionów Chłopskich.

Po wyzwoleniu rozpoczął aktywną działalność jako referent/prasowy Resortu Kultury i Sztuki PKWN. Po wyjeździe rządu do Warszawy związał się z lubelską delegaturą spółdzielni wydawniczej „Czytelnik” pracując tam jako reżyser zespołu „żywego słowa”. Pod Jego kierownictwem zespół mający propagować literaturę stał się placówką upowszechniającą wszelkie dostępne dla prezentacji estradowej formy twórczości, jak muzyka, śpiew, inscenizacja, scenografia, choreografia itp. Wiedzy zrodziło się w Pleśniarowiczu zainteresowanie teatrem. W tej dziedzinie dokonał szczególnie wiele jako autor przekładów z języka rosyjskiego, francuskiego, czeskiego, słowackiego, białoruskiego, ukraińskiego i innych, jako popularyzator najnow-

szych osiągnięć obcojęzycznych dramaturgii.

W teatrze im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie wyreżyserował wiele sztuk, wiele teatrów w Polsce wystawiło dramaty przez Niego przełożone. Jako reżyser odznaczał się dużą umiejętnością wykorzystania zdolności aktorów. Jego wskazówki w teatrze były nie tylko fachowe, ale przede wszystkim serdecznie kolegialskie.

Posiadał Order Sztandaru Pracy II klasy, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski oraz odznaczenia przyznane mu przez kulturalne organizacje ZSRR i Czechosłowacji.

Zostawił wielu przyjaciół, kolegów, znajomych. Nieprędko przywykną oni myśleć o Jurku jako już nie żyjącym. Nieprędko, ponieważ tak wiele aktywności, inicjatyw, pomysłów, dowodów inteligencji i taktu wystarcza więcej niż na treść jednego ludzkiego życia. Tym większą poniesiemy stratę.

Dokończenie ze str. 1

— Niezupełnie. Gradacja mandatów „od góry” przedstawia się następująco: 1000 złotych, 700, 500, 300, 200... Najwyższy mandat można wymierzyć jedynie za sześć rodzajów wykroczeń: wymuszenie pierwszeństwa przejazdu powodujące zagrożenie bezpieczeństwa ruchu, przekroczenie linii ciągłej u szczytu wzniesienia, wyprzedzanie przed i na przejeździe dla pieszych, pozostawienie pojazdu bez oświet-

— Tak, to jest problem. Bardzo wiele kolizji notujemy w następstwie niedoświadczenia i małych umiejętności kierowców. Trudno tego uniknąć, gdy dzisiaj każdy chce mieć prawo jazdy, choć przecież nie każdy powinien.

— Niedostatki szkolenia kierowców?

— Oczywiście. Szkoli wielu: przedsiębiorstwa, LOK, Automobilklub, PZMot., pion rolny, szkoły zawodowe... Idzie się na ilość, bo chętnych coraz więcej. Uważam, że u nas w dalszym ciągu za łatwo można otrzymać prawo jazdy.

— Niekiedy to jedyne wyjście. Do pańi mnie doprowadzają wypadki, kiedy zarówno kierowca jak i pieszy, uczestniczący w zajściu na drodze, są pijani. Dla takich powinno się być bezkarnym.

— Czasem przyczyną wypadków lub kolizji bywa zły stan oznakowania dróg i ulic lub w ogóle nieprawidłowości sztuki inżynierskiej, ujawniające się na drogach. Jak pod tym względem przedstawia się województwo lubelskie?

— Jeszcze nie jest tak źle ze stanem nawierzchni i oznakowaniem, chociaż w kraju w ogóle z uporem godnym lepszej sprawy trzymamy się za małych i słabo czytelnych znaków drogowych. W lubelskim narzekamy na zbyt niską ilość chodników dla pieszych w okolicach podmiejskich, na opłakany stan poboczy, no i, ale to już chyba bojaźka ogólnopolska, zbyt długi cykl przebudowy dróg i ulic. Specyfikę naszego województwa wyznacza bardzo duża liczba pojazdów zaprzęgowych na drogach. Pod tym względem znajdujemy się w pierwszej szóstce województw kraju.

— Jeżdżą bez tabliczek z nazwiskiem i adresem, bez laterek, bez odbłasków, bez dowodów osobistych, z paczką „sportów” jeżdżą. I co można im zrobić?

— Trochę można. ORMO patroluje wieczorami w rejonie targów i wprost zmusza do kupowania laterek. Naczejnicy puszczają sortysów, sortysa puszczają rolników. Ale co pan powie na fakt, że u nas się produkuje wozy konne bez szkieł odbłaskowych, tak samo rowery bez tych szkieł i osprzętu oświetleniowego?

— Powiem, przepaszam za wyrażenie, że to gwałt! Ale mam jeszcze pytanie ogólne. Ostatnio pojawiła się moda, że ma się przede wszystkim środowiskiem pieszego. Więc przyznajmy komunikacji zbiorowej pierwszeństwo przy włączaniu się do ruchu, bo ten rodzaj komunikacji właśnie dla pieszych przeznaczony. Poróbmy co kłaniamyście metrów „zebrzy”, jak to jest na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie. Wyłączmy z ruchu samochodowego środowiska. I można spokojnie sprzedawać samochody osobowe, chyba że się je ze chce używać tylko na wczasach. Widzę w tym wszystkim dużo przesady. Miasto zdaje mi się środowiskiem koegzystencji pieszego z samochodem.

— Przesada nigdy nie jest dobra. Na Krakowskim Przedmieściu, faktycznie, znajduje się jedenaście przejść dla pieszych na 850 metrów. W ogóle Lublinowi brakuje przejść bezkolizyjnych. Po drugie brakuje, jako jedynemu chyba ze starych miast wojewódzkich, pełnych objazdów dla ruchu tranzytowego; gdy się to rozwiąże, będzie można myśleć o zamknięciu dla ruchu pewnych rejonów środowiska. Projekt nowego kodeksu drogowego zakłada, iż jeśli „zebrzy” są co dwadzieścia metrów, pieszy nie mogą w innych miejscach wkroczyć na jezdnię. Ja też jestem za koegzystencją.

— Panie pułkowniku, pytanie może śmieszne. Gdy radiowóz patrolowy służby ruchu jest na drodze, kierowcy ostrzegają się miganiem świateł długich. Wiecie o tym doskonale i czy was to nie demotuje?

— Wręcz odwrotnie. Niech sobie migają, byleby się nie oślepiali. Uważam nawet takie miganie za jak najbardziej wskazane, ponieważ pełni ono bardzo ważną funkcję profilaktyczną.

— Czego by pan sobie życzył w nowym roku jako pracownik służby ruchu?

— Nie będzie to kurtuazja, jeśli powiem, że jeszcze częstszych kontaktów z prasą, aibowiem publikacje prasowe na temat ruchu drogowego jest to dla nas źródło codziennej, systematycznej profilaktyki, a ta jest w naszej pracy najważniejsza. Panu natomiast, sobie zresztą także, oraz wszystkim kierowcom życzę po prostu: szerokiej drogi!

Rozmawiał: Maciej Podgórski

## Naczelnik życzy szerokiej drogi!

lenia w warunkach niedostatecznej widoczności, a także kierowania źle oświetlonym pojazdem w takich warunkach, przekroczenie szybkości dozwolonej na danym obszarze o więcej niż 30 kilometrów na godzinę.

— A 700 złotych i niżej?

— Pozostawione do uznania funkcjonariusza. Co innego na przykład przekroczenie dozwolonej prędkości o 20 kilometrów latem na suchej drodze, co innego zimą w warunkach gołoledzi. Tutaj bardzo trudno katalogować wykroczenia drogowe.

— Czy zdarzyło się, że kierowcy reklamującemu u pana mandat przyznaliście rację?

— Od września do grudnia ubiegłego roku kilkunastu osobom obniżyliśmy wysokość mandatu wymierzonego przez funkcjonariusza na drodze. W kilku przypadkach zrezygnowaliśmy w ogóle z wymierzenia mandatu.

— Od czego to zależy?

— Bierzymy pod uwagę osobę sprawcy wykroczenia, choćby podeszły wiek, że warunki materialne. No i jeśli wykroczenie miało charakter czysto formalny, nie zagrażało bezpieczeństwu i porządkowi ruchu.

— Tak czy owak nazwisko sprawcy wędruje do kartoteki, co grozi egzaminem kontrolnym.

— Istnieje stosowne zarządzenie ministra spraw wewnętrznych, dotyczące prowadzenia ewidencji kierowców dopuszczających się najbardziej niebezpiecznych wykroczeń w ruchu drogowym. Istnieje też katalog tych wykroczeń, wymieniający między innymi kierowanie pojazdem przez osobę nietrzeźwą, niesprawność pojazdu kwalifikującą do zatrzymania dowodu rejestracyjnego, wymuszanie pierwszeństwa przejazdu, przekroczenie dozwolonej prędkości...

— Dajmy na to, że komuś zdarzyło się tak trzy razy.

— Musi się zdarzyć trzy razy na przestrzeni dwu lat. Wówczas, choć nie zawsze, kierujemy sprawcę na egzamin kontrolny. Wszelako zawsze po „drugim razie” ostrzegamy ustnie lub pisemnie takiego kierowcę, co mu może grozić.

— Liczba pojazdów samochodowych rośnie, rośnie też liczba wypadków...

— Po kolei i ściśle. Faktycznie samochodów coraz więcej, liczba motocykli ustabilizowała się na stałym, mniej więcej poziomie. Na koniec 1976 roku mieliśmy w województwie 101 487 zarejestrowanych pojazdów samochodowych, na koniec 1977 roku 108 932 pojazdy. Notujemy jednakże spadek wypadków drogowych, to jest zdarzeń pociągających za sobą ofiary w ludziach (rannych, zabitych), wzrost natomiast zwyżających kolizji.

— Rokowania na przyszłość.

— Obniżenie liczby wypadków może się nie utrzymać, niechby się przynajmniej ustabilizowało na stałym poziomie, a już będzie niezłe. Zapewne nadal rosnąć będzie liczba kolizji, których w 1976 roku mieliśmy w województwie 2396, w ubiegłym zaś 2459.

— Coraz więcej niedzielnym kierowców w „marchach” na drodze.

— Choć nie za tania. Słusznie natomiast pan mówi, że autorytet prawa jazdy w Polsce nie jest należyty. W innych krajach, słyszę, służyć może ono nawet jako dowód tożsamości. Z reguły jest terminowe; u nas różnie bywa; jak się lekarzowi chce wpisać w zaświadczeniu termin następnego bada-



Fot. A. Polakowski

nia kierowcy-amatora, wówczas prawo jazdy terminowe, w przeciwnym wypadku bezterminowe.

— Zbyt powolnie przebiega postęp w badaniu predyspozycji kandydatów na kierowców. W ubiegłym roku prokuratura miejska i wojewódzka zleciły zwołanie 120 kierowców, którzy uczestniczyli w wypadkach drogowych. Okazało się, że przeszło 60 z nich, ze względu na wady zdrowia, albo wcale nie powinno posiadać prawa jazdy, albo ze znacznym ograniczeniem, na przykład jazda w okularach, jazda tylko w dzień...

— A inne przyczyny wypadków?

— Przede wszystkim zachowanie pieszych. Chodzenie obok siebie drogą po dwie, trzy osoby, gwałtowne wkraczanie na jezdnię przed nadjeżdżającym pojazdem (także zresztą na przejściach dla pieszych), wychodzenie na jezdnię zza stojącego pojazdu, nie mówiąc już o waleśnianiu się nietrzeźwych przechodniów po drogach.

— A nietrzeźwość kierowców?

— Też, niestety, dosyć częsta przyczyna. Na następnych miejscach lokuje się wymuszanie pierwszeństwa przejazdu, nieprawidłowe wyprzedzanie, przekroczenie dozwolonej prędkości jazdy. Słowem te przewinienia, które jeśli nawet nie prowadzą do wypadku czy kolizji, karzemy najostrej. Bo jestem zwolennikiem poglądu, że gdy już człowiek nabroił bardzo, nie należy mu żalować represji.

— Tak jest, słyszałem, że pan pułkownik czasem bardzo ostry na drodze.



**W** SWIADOMOSCI przeciętnego mieszkańca Lublina problem organizacji służby zdrowia kojarzy się przede wszystkim z poradnią, szpitalem, sanatorium. Nie wie nie (mieszkaniec), że nad jego zdrowiem czuwa cały sztab specjalistów, nie tylko lekarzy. A więc planistów, administratorów, finansistów etc. Wszystko, co jest związane z życiem, musi być przewidziane, uwzględnione w narodowym planie gospodarczym, bo cała złożona struktura życia społecznego w dzisiejszych czasach wymaga zdolności przewidywania, uwzględniania, wyprzedzania współczesności. O skutkach braku wyobraźni przy planowaniu organizacji służby zdrowia Lublina chce tu właśnie mówić.

Przed paroma laty decyzją resortu zdrowia powołano Zespoły Opieki Zdrowotnej dla obszarów miast. Tam, gdzie miasto jest siedzibą województwa, stworzono Wojewódzkie Szpitale Zespołowe dla obszaru województwa. Mamy więc obecnie w Lublinie niejako dwie instytucje powołane do sprawowania opieki nad stanem zdrowia jego mieszkańców. Istnieje jeszcze Akademia Medyczna, która oprócz funkcji dydaktycznych spełnia również rolę usługową poprzez kliniki specjalistyczne, poradnie przykliniczne. Resorty kolei i spraw wewnętrznych posiadają odrębne placówki lecznicze. W dużych zakładach przemysłowych opiekę zdrowotną sprawuje przemysłowa służba zdrowia. Do zdrowotności ludności państwo przywiązuje ogromną wagę, świadczy o tym fakt istnienia aż tylu placówek opieki zdrowotnej. Bywa, oczywiście, że spory o kompetencje przesłaniają czasami chorego człowieka, ale są to fakty sporadyczne i nie ma potrzeby rozwodzenia się nad nimi. Przejdźmy do konkretów.

Lubelski ZOZ zatrudnia w 16 przychodniach rejonowych 57 lekarzy ogólnych i 47 pediatrów, nie mówiąc o lekarzach specjalistach, chirurgach, okulistach, neurologach, psychiatrach etc.

Teoretycznie taka liczba lekarzy zatrudniona jest w poradniach. Praktycznie lekarze ci zobowiązani są do świadczenia usług na rzecz małych zakładów przemysłowych i instytucji nie wchodzących w zakres opieki przemysłowego ZOZ-u, a także powinni obejmować opieką 135 placówek oświatowych w mieście oraz zakłady pomocy społecznej. Siła rzeczy więc lekarz pracujący w przychodni musi odrywać się od pracy w poradni, biec do szkoły czy przedszkola, przeprowadzać kontrolę profilaktyki i bhp w instytucji znajdującej się na terenie rejonu. Lekarz zatrudniony w przychodni musi się dokształcać, specjalizować, mieć czas na życie osobiste, a jakże często bierze dyżury w pogotowiu czy szpitalu.

Praca w poradni powinna wynosić 7 godzin, w czas ten wliczono również wizyty domowe, które pochłaniają przeciętnie około 3 godzin. Lekarz to też człowiek, choruje jak każdy inny, a może częściej, bo trzeba mieć końskie zdrowie, by te tabuny zarazków od innych znieść.

Przychodzisz, bracie, do przychodni, a tu karteczka przyspilona do drzwi, że pan lub pani doktor na zwolnieniu. (Sic!) 90 proc. lekarzy zatrudnionych w poradniach to kobiety, a więc, tak jak i inne, korzystają one z udogodnień stworzonych przez ludowe państwo, jeśli chodzi o opiekę nad rodziną. Bierze więc pani doktor urlop macierzyński bezpłatny, a na jej miejsce przyjąć nikogo nie można, etaty wprawdzie są, ale brak ludzi.

Investowanie w ludzi jest równie ważne jak w środki trwałe. A może byśmy zasugerowali prezydentowi Lublina, że trzeba ufundować kilka stypendiów dla studentów AM, z zapewnieniem mieszkania, pod warunkiem podjęcia pracy w ZOZ-ie. Inne miasta, mniejsze od naszego, czynią tak od lat. Rozumiem doskonale, że mieszkania są potrzebne dla specjalistów, ale lekarz to specjalista od czuwania nad zdrowiem innych specjalistów. I argument jest nie do odparcia: brakuje nam lekarzy w Lublinie, o! brakuje, to nie absurd!

Złożoność zachorowań, uboga baza diagnostyczna, to osobny problem, z którym nie mogą się uporać lekarze w przychodniach. Okres od pierwszej wizyty u lekarza do postawienia diagnozy jest stanowczo zbyt długi. Miał Lublin własny szpital miejski, ale go już nie ma. Został przemianowany (przekształcony?) na szpital wojewódzki. Tak więc została zachwiana podstawowa struktura leczenia przebiegająca na linii przychodnia—szpital—rehabilitacja. Lekarz nie ma możliwości śledzenia losów swojego pacjenta.

Była kiedyś, jak bajki przedwojenne głosz, instytucja lekarza domowego, leczył pan doktor (koniecznie z brodką — symbol łagodności) z pokolenia na pokolenie, wiedział o swych pacjentach wszystko, był doradcą i przyjacielem. W Lublinie instytucja lekarza domowego ma zostać przywrócona na Cześć i Honor. Był jak najżybciej.

Gros pacjentów lekarzy w przychodniach stanowią pacjenci tzw. trzeciego wieku. Lekarz w stosunku do nich rzadziej pełni funkcję lekarza, częściej spowiednika, słuchacza, kogoś bliskiego, bo starość bardzo często bywa straszliwie samotna. Lekarza powinno się odciążyć od funkcji niezwiązanych z zawodem poprzez stworzenie w przychodniach etatów pracowników socjalnych, psychologów, by lekarz mógł cały swój czas poświęcić pacjentom potrzebującym jego pomocy.

Liczba chorych oczekujących w kolejce do jednego lekarza waha się od 20

jonie jest autentyczną harówką, wymagającą napięcia nerwowego, nieustannej gotowości do niesienia pomocy.

Jaki jest stosunek nas — pacjentów do lekarza? Przyczyniliśmy się, że wszystko, co zapewni nam państwo, nam się należy. W porządku, ale spróbujmy popatrzeć na kogoś, kto świadczy nam usługi, jak na żywego człowieka. Nie jest on komputerem, maszyną, to żywy człowiek mający swoje lepsze i gorsze dni, swoje radości i kłopoty. Mówi się o pracy zhumanizowanej, taką pracę bez wątplenia spełnia lekarz mający do czynienia z żywym

adaptowane z lokalni mieszkańcy, ciśnie i duszne, są raczej karykaturą przychodni niż miejscem, które już samym wyglądem powinno leczyć. A i poradnie w nowych osiedlach też już są za małe. Trzeba sobie powiedzieć jasno i wyraźnie: budownictwo służby zdrowia w Lublinie faktycznie realizowane jest na wczoraj, mimo że używane jest dzisiaj, a będzie potrzebne także jutro.

Brak wyobraźni organizatorów służby zdrowia, czy też pochopne realizowanie postulatów mieszkańców, spowodowały, że zamiast dużych przychodni ponadosiedlowych posiadamy karłowate twory, w których na małej przestrzeni gnieźdzą się co prawda wszystkie wymagane w poradniach cztery specjalności, ale bez bazy diagnostycznej, bez możliwości elementarnych zabiegów fizyko-terapeutycznych, rentgena itp. Latwiej byłoby rozwiązać problem zastępstw w przychodniach, gdzie dyżuruje np. trzech lekarzy, niż tam, gdzie rano i po południu jest tylko jeden. Brakuje nam ośrodka rehabilitacji z prawdziwego zdarzenia, polsanatorium ze wszystkimi zabiegami, sauny leczniczej. Na Cześć i Honor taki kombinat zdrowia zaprojektowano, póki co namawiam mieszkańców tej dzielnicy, aby w czynnie społecznym zaczęli kopać dół fundamentowe, by budowlanych postawić przed faktem dokonywanym.

Tak więc, jak pokazałem, baza materialna służby zdrowia jak i baza ludzka na skutek niedoinwestowania stawiają nas na jednej z gorszych pozycji na leczniczej mapie kraju. Czy jest możliwość poprawienia tego stanu rzeczy bez większego wysiłku finansowego i nakładów rzeczowych? Sądzę, że tak.

Mimo, że posiadamy Akademię Medyczną kształcąca lekarzy dla makroregionu wschodniego, stan posiadania lubelskiej służby zdrowia jest etatowo niedoinwestowany. Lekarze zatrudnieni w otwartej służbie zdrowia spełniają szereg funkcji wyręczających powołane już instytucje, np. przemysłową służbę zdrowia. Krajowy wskaźnik 4 tysięcy mieszkańców na lekarza w rejonie jest w Lublinie poważnie przekroczony. Gdyby przemysłowa służba zdrowia objęła opieką wszystkie zakłady pracy, problem dałoby się częściowo rozwiązać. Na jednego lekarza przemysłowego przypada od 600 do 1 200 osób. Pobory lekarzy przemysłowych są ponadto wyższe od lekarzy rejonowych o około 40 proc. Otwarta służba zdrowia powinna być oddzielona od wszystkich form usług, świadczonych na rzecz szkolnictwa. Wzorem przychodni studenckich należałoby utworzyć przychodnie między-szkolne, posiadające własną bazę materialną i lokalową. Lekarz w szkole potrzebny jest do zbadania dziecka, przepisania recepty, wystawienia skierowania na badania specjalistyczne, nie ma możliwości leczenia bez bazy diagnostycznej. Stworzenie przychodni między-szkolnych pozwoliłoby na kumulację rozdrobnionej infrastruktury medycznej, aparatury, ludzi. Argumentacja władz oświatowych, iż dzieci udające się do poradni nie wracają do szkoły, co sprzyjałoby wagarom, jest śmieszna i nie wytrzymuje krytyki. Najwyższym dobrem jest zdrowie młodego pokolenia, czas, aby to hasło nie było tylko sloganem. Przychodnie między-szkolne oprócz ewidentnych korzyści odciążenia lekarzy w rejonie pozwoliłyby na stworzenie bazy rehabilitacyjnej dla dzieci ze skoliozami, wadami postawy, dałyby możliwość zatrudnienia pewnej liczby magistrów wf, pozwoliłyby na zajęcie się dziećmi specjalnej troski. W przychodniach między-szkolnych istniałoby poradnie pedoontyczne, profilaktycznie zapobiegające wadom uzębienia, można by stworzyć bazę stomatologiczną z nowoczesnym sprzętem, nierozdrobnionym po szkołach.

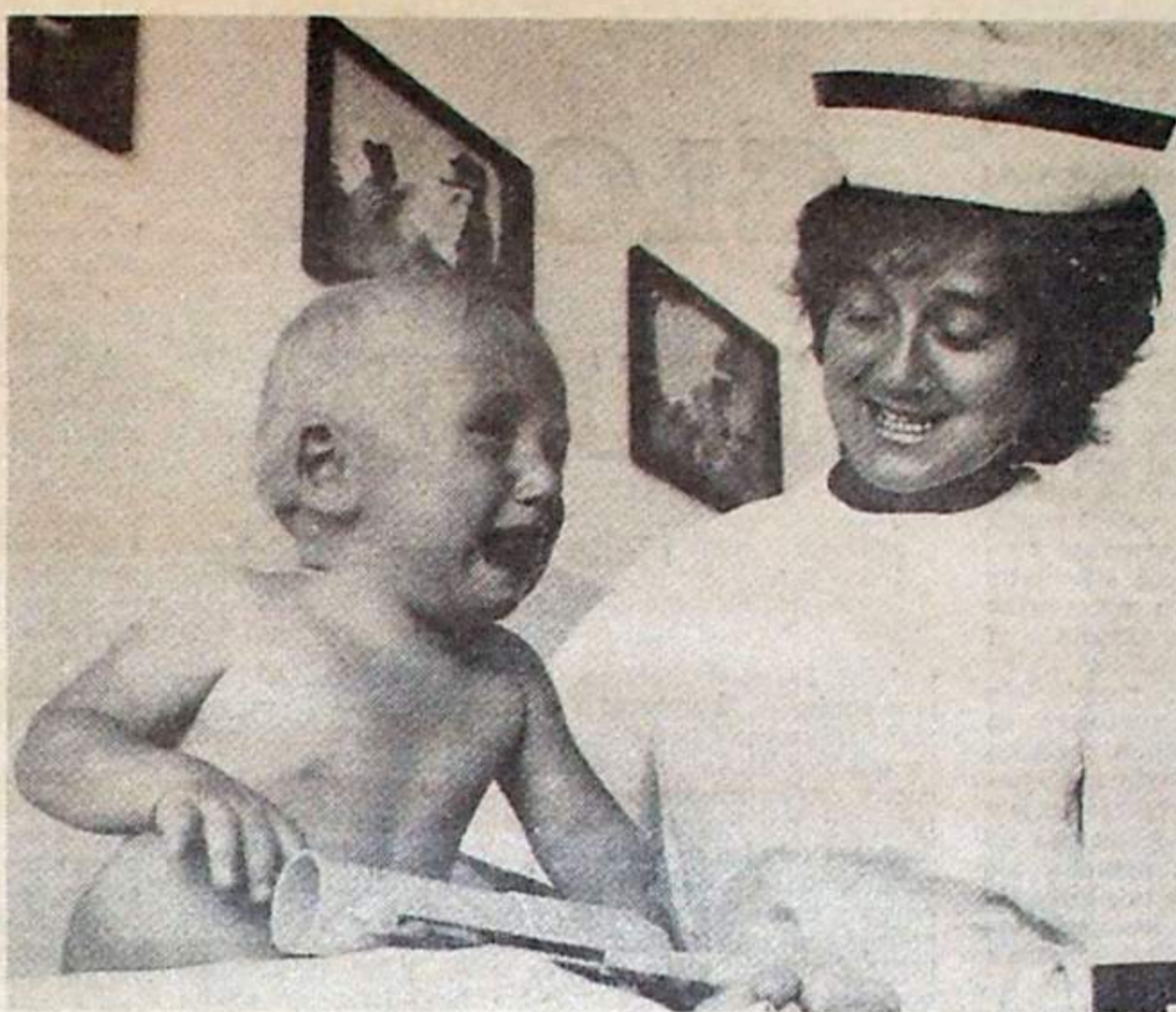
Odciążenie lekarza rejonowego jest tu i w chwili obecnej sprawą najważniejszą. Iluż frustracji uniknie pacjent, który nie będzie musiał spędzać w przychodni kilku godzin, a lekarz będzie mógł temuż pacjentowi poświęcić więcej uwagi i czasu! Salus aegroti suprema lex — dobro chorego najwyższym prawem. Czas, by to stare łacińskie przysłowie zaczęło funkcjonować nie tylko u nauczycieli starej akademickiej szkoły medycznej...

Artykuł A. Rozenfelda traktujemy jako temat do dyskusji, do której zapraszamy pracowników służby zdrowia i jej pacjentów. Każdy widzi potrzebę usprawnień w tej dziedzinie. Dyskusja może wskazać najbardziej korzystne, a jednocześnie realne rozwiązania.

Redakcja

## Lecznictwo potrzebuje lekarza?

Aleksander Rozenfeld



Fot. Zb. Jaśkiewicz

do 40 osób. Każdy z nich to indywidualny problem, wymagający uwagi, wnikliwej analizy całej złożonej struktury zachorowania i terapii. Czas, jaki lekarz może poświęcić jednemu choremu, wynosi 5 minut. Liczba porad lekarskich udzielonych w 1977 roku przekroczyła 500 tys., liczba porad domowych tylko w pierwszym półroczu ub. r. — 14 tys. Spojrzenie więc lekarza na chorego musi być z konieczności zrutynizowane. Medycyna, jak mi powiedział jeden z rozmówców w białym fartuchu, siłą rzeczy stoi na poziomie wieku dziewiętnastego: stetoskop, aparat do mierzenia ciśnienia, wywiad. Jak chory ma trudności z wysłowieniem się, wywiad praktycznie odpada. Objawy wielu schorzeń są dzisiaj nietypowe.

„Marzy mi się, mówi lekarz, taka sytuacja: rano pacjent przychodzi do laboratorium, ma po trzech godzinach wyniki, z całą odpowiedzialnością za rozpoznanie mogą przepisać leczenie. A tak, dając od razu leki najsilniejsze a więc najdroższe, bo wiem, że pomogą, ale komu to wszystko potrzebne?”

Szczupłość pomieszczeń przychodni także sprzyja zachorowaniom. Nie wszyscy, którzy przychodzą, są rzeczywiście chorzy, przychodnie pełnią bowiem również rolę profilaktyczną, badają pracowników podopiecznych zakładów pracy, badają młodzież rozpoczynającą pracę zawodową. Lekarze rejonowi przyjmują również pacjentów spoza Lublina, którzy w mieście pracują, wygodniej jest bowiem pójść w mieście do lekarza, niż ileś kilometrów jechać do ośrodka w gminie. Sądym dniem dla przychodni są poniedziałki. Jak twierdzą ludzie w białej, początkalnie przypominają wówczas bardziej poradnie przeciwalkoholowe niż normalne poradnie.

Jak już mówiłem wcześniej, lekarz powinien się dokształcać, specjalizacja trwa trzy lata, przez ten okres lekarz spędza dwie godziny w klinice lub szpitalu, dojechać też musi, tak więc przez okres trzech lat pracuje praktycznie na pół etatu, mimo że zatrudniony jest na całym. Jak widać, praca lekarza w re-

człowiekiem. Nie utrudniajmy pracy temu, kto nam służy swoją wiedzą i umiejętnościami, idźmy do niego tylko wtedy, gdy jest to naprawdę konieczne.

Nie powinno być to wołaniem w próżnię, chcę bowiem powiedzieć o sprawie bardzo trudnej. Każdy chory człowiek ma prawo do pomocy szybkiej, możliwie skutecznej. Lekarzy o tej prawdzie przekonywać nie trzeba, znani są z ofiarności, sumiennosci, umiejętności ryzyka. Pierwszym odruchem człowieka chorego jest telefonowanie do pogotowia. Nawet, gdy przychodnia jest oddalona o kilkaset metrów, gdy można pójść i zamówić wizytę domową, te dwa numery 999 i 244-44 przyciągają nasze leniwe umysły jak magnes. A karetka wyjedzie, nie może nie wyjechać, a tam, gdzie jest w tej chwili naprawdę potrzebna, może jej nie być. Gdzieś umiera człowiek na zawał serca, czy dusi się atakiem astmy, a tu grypka, przepisanie rutynowych leków, płacisz, bracie, dwadzieścia złotych (stać cię) i sumienie cię nie gryzie...

I tu trzeba powiedzieć o następnym postulacie kierowanym pod adresem administracji służby zdrowia. W innych miastach działają już od lat pomoce wizerowowe i całodobowe, jeżdżące do zachorowań. Posiadają własny transport, własną siedzibę. Nie jest rozwiązaniem wydzielenie czterech przychodni na terenie miasta (Weteranów, Kruczkowskiego, Łabędzia, Kalinowszczyzna), czynnych do godziny 20. Byłem, widziałem pustki, informacja szwankuje, a liczba wezwań pogotowia w godzinach pracy tych przychodni wzrasta. Błędne koło!

Przejdźmy teraz do stanu posiadania lubelskiego ZOZ-u, czym on dysponuje, co ma, a co mieć powinien. Baza lokalowa, to truizm, jest niewystarczająca, przestarzała, nie dająca możliwości pełnego wykorzystania i tak szczupłego potencjału ludzkiego. Przychodnie przy Krakowskim Przedmieściu, Kowalskiej, Hipoteckiej, Narutowicza, Młyńskiej, ze tylko wymienię niektóre, nie spełniają funkcji, do których zostały powołane:

Czytelnicy „Kamery” od wielu lat spotykają się na jej łamach z Marią Bechcyc-Rudnicką jako krytykiem i publicystą. W niniejszym numerze chcemy zapoznać naszych czytelników z prozą Jubilatki. Zamieszczone tu opowiadanie pochodzi z tomu jej nowel „W retorcje życia”, wydane w r. 1938 przez Dom Książki Polskiej w Warszawie, wejdzie ono w skład przygotowywanego do druku zbiorku autorki „Nagle zamyslenia”.

Redakcja

**M**OJ przyjaciel William Shakespeare usadowił się naprzeciwko mnie na ultranowoczesnym pochylonym fotelu, w pozycji niemal leżącej, wyciągnął bowiem nogi daleko przed siebie, jak to zwykli robić Amerykanie, którzy szanują swe dolne kończyny, strudzone wyczynami sportowymi. Cmokał z lubością charakterystyczną krótką brunatną fajeczkę z cennieo korzenia, mrużąc przy tym oczy, powiedziałabym: jak ssące smoczek niemowlę, gdyby analogii tej nie przeczyły unoszące się nad nim spirale dymu.

Mój przyjaciel William Shakespeare... Owszem, wiem co mówię, Mister William Shakespeare jest istotnie moim przyjacielem. W zagranicznym słowa znaczeniu: *my friend*. Czyli że chętnie się od czasu do czasu spotykamy i spędzamy ze sobą parę godzin na milej pogawędce, w jego wytwornej parsonierce starego kawalera lub w moim dużo skromniejszym mieszkaniu na czwartym piętrze warszawskiej przedwojennej kamienicy bez windy. A nierzadko i na neutralnym gruncie.

Wszystko jedno zresztą gdzie i dlaczego. Chodzi tylko o stwierdzenie faktu, że Mr William Shakespeare to nie widmo wywołane podczas seansu spirytystycznego, na który przychodzą z zaświatów wszechświatowi geniusze, ani go stworzyła zaostrzona alkoholem wyobraźnia czy też psyche zbłąkana na manowcach irracjonalizmu. Jest stuprocentowym Amerykaninem z krwi i kości, pełnowartościowym synem Stanów Zjednoczonych, bo należy do rasy anglosaskiej i nawet rad opowiada, jak to w roku pańskim 1620 przybył do Ameryki jego przodek na sławetnym okrętku „Mayflower”. A wiadomo, że tradycja taka nadaje ludziom w Stanach Zjednoczonych pewien polor arystokratyczny, wobec czego, nawiasem mówiąc, pojemność staruszka „Mayflower” musiała się rozciągać do rozmiarów znacznie przewyższających tonaż „Normandie” i „Queen Mary”.

Skoro zatem tradycje rodowe mego przyjaciela tkwią korzeniami w owym zasłużonym żaglowcu, co po wielkich trudach i niebezpieczeństwach wyładował szczęśliwie na wybrzeżu Nowego Świata pierwszych emigrantów ze starej Anglii, tedy można by na uparte dotrzeć do Stratford-on-Avon, aż do domu rodzinnego autora „Hamleta” i powołać się na kuzynostwo. Ale po co? Czyż kraj o tak kolosalnym rozmachu, jak Stany Zjednoczone, nie może sobie pozwolić na własnego Williama Shakespeare'a made in USA?

Nie ma, proszę mi wierzyć, zgola nic niesamowitego w tym, że William Shakespeare odżył w wieku XX na gruncie amerykańskim. Pietyzm dla wielkich nazw i nazwisk aż bije tam w oczy na każdym kroku. Nie mówię oczywiście o Kolumbie, któremu się słusznie należało, by jego imieniem nazwano największą rzekę zachodniej Ameryki i około tuzina miast. Nie mówię o Washingtonie, o miasteczkach Franklin, Lincoln, Lafayette itp. Mam na myśli co innego. Bo gdzie, na przykład, znajdujemy w Europie miasteczko, która by sięgnęła po wspólną nazwę Kartaginy, Itaki lub Memfis? Jest w tym przecie polot, znać niewątpliwie czytanie. Albo Hannibal. W Hannibalu, „pod Hannibalem” — cóż za imponujące brzmienie! Nauki, jakie pobierali w dzieciństwie założyciele miast, nie poszły w las... Ajaks, Feniks — takie nazwy u nas się spotyka w zakresie perfumerii. Bachusem nazywają kina i restauracje, a już Jerychem w ogóle nie by nie zaryzykowanie nazwać.

Nomenklatura geograficzna Europy nie ujawnia zatem wyższych aspiracji ani planowości. Większość miast została tu nazwana bez głębszego zastanowienia i z tą byle jaką nazwą trafiły niektóre z nich do historii. Potem był z tego powodu kłopot nie lada: zapomniano co i dlaczego, kronikarze musieli więc na wysięgi dorabiać smoki i inne potwory, a znowu z nastaniem ery metod ścisłych filolodzy i historycy zaczęli się wyklócać o sprzeczne hipotezy. Lalk zaś nadal pozostał jak tabaka w rogu, boć z jednakowo autorytatywnych wywodów naukowych wynikało, że mogło być i tak, i owak, i jeszcze inaczej.

Dajmy jednak temu spokój. Są to rzeczy, o których gadałoby się i gadało bez ustanku. A William Shakespeare wypalił już właśnie swą fajeczkę do ostatnich możliwości, wykonał przy niej wszystkie końcowe obrzędy zawodowego palacza-i, chowając ważny przedmiot do obszernej kieszeni marnie skrojonej, lecz solidnej marynarki, nagle się rozemniał śmiechem wesołym, choć trochę drewnianym, jak zwykle.

— No, co takiego? — uśmiechnąłem się w odpowiedzi, wykazując tonem gotowość podzielenia jego wesołości.

— Nic... Przypomniała mi się tylko ta noc w Irkucku, trwająca pół roku. *Oh, damnend fools!* A to osły! — powtórzył po polsku.

— Troszkę im się poplątało — odrzekłem z uśmiechem pobłażliwością.

— Trzeba wiedzieć, że wróciliśmy przed godziną z Kina, gdzieśmy byli razem na filmie amerykańskim z życia rosyjskiego.

— A ja w dodatku mam o Syberii wcale niezłe pojęcie, proszę sobie wyobrazić. I nawet przydarzyła mi się tam nadzwyczajna rzecz... Z tego, co już panu naopowiadałem, *old boy*, wie pan, że całą kupę przygód zawdzięczałem lekkomyślności moich rodziców, którzy przy tak niedorzecznym nazwisku ochrzczili mnie na dobitkę Williamem. Ale najpodlejsze przejście miałem właśnie na Syberii, jakieś dwadzieścia, nie, więcej... dwadzieścia pięć lat temu. Z jednym drabem... *Ah, dirty dog!*

William Shakespeare mówił zupełnie dobrze po polsku, aż za dobrze. Przepadał za specjalnie polskimi zwrotami, pakował je gdzie się da. Mimo to często i gęsto przemycił bądź poszczególnie wyrażenie z prawowiernej mowy angielskiej, bądź różne tegie powiedzonka amerykańskie, bez których, jego zdaniem, dzisiejsza angielszczyzna zeszlaby niechybnie na pył. Anglicy bowiem gadają na swej wyspie językiem martwym niemal jak łacina. I, przynajmniej, sam go zachęcałem do makaronizmu, gdyż owa domieszka slangu nadawała naszym pogawędkom jakiś zabawny, specyficznie przyjazny ton.

— Tak, znam Syberię, znam... — wyrzekł Mr Shakespeare z odcieniem zadumy. — No, przynajmniej w pobliżu kolei transsyberyjskiej — ograniczył sumiennie twierdzenie, poruszając się na fotelu.

— Jak pan tam zawędrował, przyjacielu? — spytałem zaciekawiony.

— O, to skomplikowana historia! Przyczyny tkwią bardzo głęboko. Widzi pan, kiedy skończyłem *high school*, to, co wy nazywacie szkołą średnią... byłem strasznym snobem. Licho wie, skąd mi się to

## GLORIA MUNDI

Maria Bechcyc-Rudnicka

wzięło! Jednym słowem, ubrdałem sobie... ubrdałem sobie, — powtórzył z upodobaniem — że muszę za wszelką cenę być dyplomatą. A wszystko dlatego, że miałem bzika na punkcie krawatów i przesadne ruchy, które mi się wydawały bardzo wytwornymi. Koledzy na kpiny przewalili mnie ambasadorem. Zamiast dać im w zęby, jak za kawaly z Shakespearem, robiłem z siebie nadal błazna i nawet zacząłem poważnie myśleć o karierze dyplomatycznej. Rodzice moi byli dość zamożni, ale nie mieli żadnych kontaktów wśród elity towarzyskiej, więc wykombinowałem, że trzeba się starać o taką placówkę, gdzie stosunkowo mało kandydatów z powodu trudności językowych. Koniec końców zacząłem kuć rosyjski. Piękny język, ale, psia krew, trudny!

— A jak się panu zdaje, trudniejszy od polskiego czy nie?

— Bo ja wiem? — zastanowił się Shakespeare. — Chyba jeden diabeł! — orzekł ze śmiechem. — Polskiego nauczyłem się prędzej, bo to był już drugi słowiański język. A na początku, zanim się oswoiłem z tymi wszystkimi deklinacjami i koniugacjami, myślałem, że mnie szlag trafi. Najgorsze były „udarenija”. Mój profesor aż się za brzuch trzymał, kiedy czytałem po rosyjsku. Potem poszło jednak niezłe... Jak tylko skończyłem Harvard, złożyłem czym prędzej podanie do *Department of State* i już widziałem siebie w wytwornych salonach petersburskich albo jadącego sankami na Newskim Prospekcie, o którym wyczytałem w encyklopedii, że o bok głównej ulicy Edynburga uchodzi za najpiękniejszą ulicę w świecie. Miałem nawet plan Petersburga, nie pamiętam, skąd go wytrzasnałem... A więc może pan osądzić, jaki to był dla mnie cios, kiedy mi nadesłano z *Department of State* gładko wystylizowaną odmowę.

— No, chyba!

— W dodatku głupio wyglądałem, bo przez gadulstwo zdążyłem rozgłosić moje projekty... Powiedziałem mi potem poufnie, że byłem nawet jednym z najważniejszych kandydatów, ale wszystko „dabili” wzięli z powodu mego przekłętego nazwiska. Rzeczywiście, niech pan sobie wyobrazi wielką salę Pałacu Zimowego, pełną szamerowanych mundurów. Nagle rozlega się: „Attache Ambasady Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, pan William Shakespeare”. *Isn't that funny?*

I niedoszły dyplomata sam wybuchnął śmiechem. Miał w ogóle poczucie humoru, a więc i ja nie potrzebowałem się krepować. Śmiałem się tym weselej, że żywo wyobraziłem sobie miny Mikołaja i całego dworu.

— Tak, teraz to wydaje się zabawne, a wtedy byłem wścickły — zauważył Mr Shakespeare po wyładowaniu swej wesołości.

— Ale wiedza moja w zakresie języka rosyjskiego nie przepadała — dodał po chwili. — Ojciec wkręcił mnie do pewnego *business* i w parę lat później, gdy byłem już dużo mądrzejszy, nawiązałem kontakt z grupą, która interesowała się terenami naftowymi w okolicy Bajkału. Do tego czasu z rozpaczą skończyłem chemię, no i ponieważ znałem rosyjski, oni zdecydowali wysłać mnie na miejsce dla zbadania gruntu... W dosłownym i przenośnym znaczeniu. Na-

bycie tych terenów zależało od paru osób rozsianych po całej Rosji, a więc podróż moja zamieniła się w listną Odyseję i nawet spełniły się moje marzenia co do Petersburga: dostawałem się tam, tylko w innym trochę charakterze. Stamtąd już miałem jechać na Bajkał, ale wypadło mi jeszcze przerwać podróż w Petropawłowsku. Wie pan gdzie to jest?

— Pojęcia nie mam — wyznałem szczerze.

— Petropawłowsk to miasto powiatowe o jakieś trzysta kilometrów od Omska — poinformował mnie z satysfakcją Mr Shakespeare. — Mieszkał tam jeden Amerykanin, który mógł mieć wielki wpływ na wynik transakcji. Też dziwny typ! — dodał uśmiechając się do swych wspomnień. — Rodzaj takiego, jak wy to nazywacie, obłężywiata. Włóczył się, włóczył po globie ziemskim, aż wreszcie zakochał się w córce kozaka syberyjskiego, wziął ślub w cerkwi i ugrzązł w Petropawłowsku na stałe. Zajął się handlem dywanami bucharskimi.

— No, ale to do rzeczy nie należy — przerwał sobie Shakespeare. — Krótko mówiąc — na wiosnę roku 1913 znalazłem się pewnego wieczora w Petropawłowsku. W pierwszej chwili serce mi zapadło w buty — wyznał z amerykańską ku mej wielkiej ucieśze. — Pociąg sobie gwizdał i ruszył płynnie dalej, a ja poczułem się oamotniony, jak rozbitek na oceanie. Dziwne to było uczucie...

Shakespeare zamilkł, sięgając do kieszeni po fajeczkę. Gdy już dymia pogodnie w kątku ust, rzekł reasumując swe myśli:

— Wie pan, nie przypominam sobie teraz wcale budynku stacyjnoro, tyle przecież człowiek w życiu oglądał. Pamiętam tylko białą równinę bez kresu zalaną martwym światłem księżycowym i nigdy nie zapomnę wrażenia oszałamiającej ciszy, jakie mnie orarnęło po odejściu pociągu. Cisza ta wprost przerażała. Na końcu peronu ktoś rozmawiał, ale zdawało się, że niejasne odłosa rozmowy tylko jeszcze więcej podkreślała ośloną ciszę...

— Shakespeare! — zawolałem nagle. — Czy nigdy nie próbował pan pójść w ślady swego sławnego imiennika? Pan może mieć zdolności pisarskie.

— Sądzi pan, że takie nazwisko upoważnia do grafomanii? Proszę bez złośliwości! — ostrzegł dobrodźnie groźną palcem.

— Zabawne, że pierwsze wrażenie było głównie słuchowe — prawil po chwili dalej. — Ale pamięć robi nam często kawały. Ot, teraz, na przykład, wydaje mi się, gdy o tym myślę, że słyszę skrzyp śniegu pod butami, a to nieprawda, to już dostało się z innego obrazu, bo do Petropawłowska przyjechałem w końcu marca i, choć mróz był tego wieczora tegi, chyba z dziesięć stopni, potem przekonałem się, że śnieg leżał tylko na polach. W mieście była gruda i czarym...

— Cóż to za d'abeł? — spytałem zaintrygowany. — Gololedz. *Czarym* albo *dżuf*, po kirgisku. Zwykła rzecz w tej okolicy na wiosnę. Kiedy ten czarym skuje pola, to jest prawdziwa klęska.

— Ale wracając do mego opowiadania... Więc stoję sobie między torami bezradnie i nie mogę zdecydować się na żaden ruch. Za to tragarz, który zaopiekował się moimi rzeczami, barczysty taki chłep w białym fartuchu, wiedział dobrze co ma robić. Zdjął pas, przesunął pod rączki walizek, zaplął klamrę, potem walizki na ramie: jedną z przodu, drugą z tyłu i jazda przez szyny do bufetu pierwszej klasy. Tu rzucił walizki na podłogę koło długiego stołu i oznajmił, że póki będę pił herbatę, on się postara o dorożkę.

Co do herbaty nie miał żadnych wątpliwości, że na wstępie nikomu nie zaszkodzi. Ale dokąd zgościć dorożkę?

— Do hotelu.

— Do którego?

— No, do pierwszorzędnego.

— Migiem, *barin*.

— Nie mogłem zjechać do mego rodaka, bo nie byliśmy pewni, czy prowadzi czystą grę, więc nie chciałem od niego zależeć... Otóż napiłem się tej herbaty z cytryną, tragarz przyszedł po mnie i... Nie znużyło pana moje opowiadanie?

— Ależ skąd, mości Shakespeare! Wał pan, przyjacielu, dalej, nie certuj się, słucham przecież w napięciu.

— Zresztą teraz już prędko pójdzie — oświadczył Shakespeare.

Przed stacją czekał na mnie webikul bardzo archaiczny. To, co oni nazywają *pralotką*. Mały powozik, jak u *izwozczyków* petersburskich, ale w fatalnym stanie. Od razu miałem sposobność przekonać się na własnym, powiedzmy, erzbicie, że sprężyna w niepowołanych rekach to diabelski wynalazek. Siedziałem jak na torturach, bo niech pan nie zapomina o *czarymie*. Myślałem, że mi mięso od kości odpadnie.

Po mieście wobec tego nie bardzo się rozglądałem, ale pamiętam, że jechaliśmy szerokimi ulicami, między jednostajnymi szeregami rzadko rozstawionych drewnianych domków parterowych lub jednopiętrowych. Mineliśmy murowaną cerkiew z cebulastymi kopułami, meczet... Wszystko to oświetlone, jak Pan Bóg przykazał, światłem księżycowym. Nagle w pewnej chwili wynurzył się przed nami z cienia trochę większy budynek murowany z krytym ganeckiem, którego daszek był oparty na dwóch cienkich drewnianych słupach. Gdyśmy się z nim zrównali, ujrzałem w młym świetle chwiałej się pod daszkiem latarni wielki różowy afisz, a na nim wydrukowane dużymi literami nieśmiertelne imiona ROMEO I JULIA.

Widok ten natychmiast napelnil mnie niepokojem. Pomyślałem sobie, że to złowrogi prognostyk. Niestety, miałem rację.

Zajechaliśmy wreszcie pod ich pierwszorzędną hotel, który nazywał się *Metropolem*, a był sobie zwyczajną drewnianą budą. Woźnica mój nie żalował pieści i butów, więc po paru minutach drzwi się uchylily i ukazał się rozczochrany, zaspany młodzieniec w kołuszku. Po dość długich pertraktacjach





# WSPÓŁCZESNA LITERATURA MONGOLSKA

Zdzisław Reszelewski

**Z**AZWYCZAJ słowo „Mongolia” wywołuje określone skojarzenia opierające się na kiedyś przeczytanych książkach: bezkresne obszary stepowe, samotne jurty koczowniców, niezliczone stada pasących się owiec i krów, tabuny koni. Stepowymi traktami ciągną karawany wielbłądów z ładunkiem. A gdzieś tam w sercu kraju tajemnicza pustynia Gobi ze śladami dinozaurów na wypalanej kamienistej ziemi, zasypanej piaskiem wymarłe miasta. Jednym słowem egzotyczna kraina, owiana legendami, wielokrotnie opisywana przez podróżników w różnych epokach: Plano Carpini<sup>1)</sup>, Marco Polo<sup>2)</sup>, Nikołaj Przewalski<sup>3)</sup>.

W pewnym stopniu skojarzenia te nie są i dzisiaj całkowicie nieprawdziwe. I dzisiaj zagranicznego turystę oczarowują ogromne, surowe przestrzenie Mongolii. Wielowiekowa historia Mongolii pozostawiła niezliczone świadectwa niełatwego i złożonego życia narodu, jego kultury. Mówią o tym wykopaliska archeologiczne oraz bogaty folklor, który jest odbiciem nie tylko duchowego, ale i społecznego życia.

Mongolska Akademia Nauk zaopiekowała się wszystkimi pomnikami dawnej kultury. „Tajemnicza” Gobi z unikalnym światem zwierzęcym, z doliną Nemegety, gdzie paleontolodzy istotnie odkryli szkielety dinozaurów i innych prehistorycznych zwierząt, przeobrażona została w park narodowy. Samotne osady koczowniców połączyły się w wielkie gospodarstwa. W nagim stepie, tam gdzie wlokły się karawany wielbłądów podzwaniając botanami, gdzie roznosił się skrzyp koślawych arb o ciężkich drewnianych kołach, gdzie stały tylko ubogie, szare jurty koczowniców, wyrosły nagle olbrzymie organizmy zakładów przemysłowych, wysoko zmechanizowane i automatyzowane elektrociepłownie. W stepie wyrosły osady górnicze, przecinają go magistrale kolejowe i linie wysokiego napięcia. Na Gobi trysnęły pierwsze fontanny ropy.

W Mongolii powstała klasa robotnicza, która wysunęła na pierwszy plan dążenie do przeobrażenia kraju w państwo przemysłowo-rolnicze. Nowe warunki przyczyniły się do stworzenia nowego typu osobowości, do uformowania nowego człowieka.

Przed mongolskimi pisarzami stoi niełatwe zadanie znalezienia artystycznych środków dla wyrażenia współczesności, procesów zachodzących w burzliwie rozwijającym się kraju. Pisarz musi nieustannie „uwspółcześniać” swą świadomość w tym szybko zmieniającym się świecie. Największą chyba trudnością dla pisarzy mongolskich stanowi problem dystansu do wydarzeń — nawet historycznych.

We współczesnej literaturze mongolskiej króluje powieść historyczno-rewolucyjna i w coraz szerszym zakresie powieść o klasie robotniczej, uwzględniająca szeroko pojęte problemy i konflikty współczesnego społeczeństwa.

Do najwybitniejszych pisarzy mongolskich zalicza się: Cz. Alгаа, S. Badraа, Dз. Bжamba, D. Garmaa, S. Erdene, D. Mжgmar, L. Tүdew, L. Wangan, P. Chorloo, B. Rinzen. Wśród kobiet wyróżniają się talentem S. Udwal i E. Ojuun.

Urodzona w roku 1921 S. Udwal zadebiutowała w roku 1933. Popularność przyniosła jej wydana w roku 1956 opowieść „Odgerel”<sup>4)</sup>, w której autorka opisuje losy dziewczynki-sieroty oraz jej niełatwe życie. Udwal pisze prostym, lakonicznym stylem, za którym jednak wyczuwalny jest ogromny ładunek emocjonalny. Ostatnia powieść S. Udwal „Wielki Los”<sup>5)</sup> jest próbą ukazania rewolucji 1921 roku i pierwszych dwu porwulucyjnych dziesięcioleci. Wyjątkowa, dokumentalna wierność autentycznych wydarzeń, historyczna motywacja działania i czynów bohaterów sprawiają, że książkę czyta się jak autentyczny dokument. Osnowę powieści stanowią bohaterkie dzieje jednego z najznakomitszych mongolskich dowódców wojskowych, towarzysza i doradcy Suche-Batora<sup>6)</sup> — Chatan-Batora Maksarżawa. Autorka ukazuje go nam w najtrudniejszych dla kraju chwilach — w czasie przygotowywania powstania zbrojnego przeciwko obcym najeźdźcom, w okresie walk przeciwko baronowi Ungernowi. Wydarzenia te ukazane są na szerokim historycznym tle z uwzględnieniem skomplikowanej sytuacji wewnętrznej kraju.

Wydarzenia rewolucyjne stały się także głównym tematem noweli „Rok niebieskiej myszy”<sup>7)</sup> S. Erdene. W noweli tej, podobnie jak w innych książkach S. Erdene, życie pokazane jest poprzez zderzenie się charakterów w sytuacjach konfliktowych. W okresie rewolucji młody rewolucjonista Oczirbat ratuje skazanego na rozstrzelanie oficera białogwardyjskiego Sagarila, a w kilka lat później sam ginie od jego kuli. Taka jest w telegraficznym skrócie treść noweli. Mimo tragiczmu przedstawionym w noweli wydarzeniom, jest ona w gruncie rzeczy optymistyczna, przyszłość bowiem, głosi S. Erdene, należy do takich ludzi, jak uczciwy, zaangażowany, wrażliwy na niedolę innych Oczirbat. Warto tu dodać, że urodzony w roku 1929 S. Erdene wszedł do literatury mongolskiej w latach 60-tych i stał się jej prawdziwym objawieniem. Z zawodu lekarz przez kilka lat pracował w klinice psychiatrycznej zanim zajął się zawodowo literaturą. „Pisarstwo jego to twórczość na wskroś humanistyczna, przepojona autentyczną miłością do człowieka, życzliwie i z głębokim zrozumieniem traktująca nawet najprostsze ludzkie problemy, bardzo kameralna i nastrojowa. (...) Erdene jest mistrzem krótkiego opowiadania, pejzazystą umiającym uchwylić i utrwalić urok chwili, przelotny nastrój, malować rodzajowe obrazy”<sup>8)</sup>.

O tworzeniu się nowej inteligencji, jej uczestnictwie w budowie nowego porządku społecznego mówi książka P. Chorloo „Nauczyciel”<sup>9)</sup>. Akcja powieści obejmuje lata trzydzieste, kiedy to w inicjatywę byłych lamów i książy zorganizowano kontrrewolucyjne bunty, które nie uzyskawszy szerszego poparcia społecznego zakończyły się klęską. Autor z ogromnym znanstwem i wyczuciem oddaje atmosferę tamtych lat. Głównym bohaterem powieści jest młody pedagog Churle z samozaparcie walczący o nową szkołę. Wrogowie rewolucji — książę Ajuur i lama Ojdoow — orientowawszy się, że nie uda im się wciągnąć do swych ciemnych machinacji młodzież, decydują się na wkroczenie na drogę zbrodni — za-

mierzają zgładzić nosiciela nowej ideologii.

Spod pióra doświadczonego mongolskiego prozaika Z. Sandagaa wyszła powieść „Nowicjat”<sup>10)</sup>. Autor tej powieści, podobnie jak P. Chorloo, opisuje walkę młodego państwa ludowego o młodzież, której znaczna część na początku lat trzydziestych, to jest już po rewolucji, żyła w klasztorach. Nie wystarczyło ogłoszenie ustawy o wolności wyznania, trzeba było wprowadzić ją w życie. Stopniowo młodzi chłopcy i mężczyźni w nowicjacie uświadamiali sobie szkodliwość religii buddyjskiej. Zaczynają opuszczać klasztory i swych wychowawców-lamów. Głównym wątkiem powieści jest los jednego z takich chłopców. W kraju zaczęto organizować szkoły. Kiedy lama spozirzeł, że jego wychowanek uczy się czytać, obje go do nieprzytomności. Ale nauczyciel organizuje dla swych uczniów wycieczkę do Ulan Bator i zabiera na nią także chłopca z nowicjatu, młody człowiek nauce przekonuje się o przemianach, które zaszły w jego kraju.

Bogata w humanistyczne treści jest twórczość D. Mжgmara — pisarza średniego pokolenia (ur. 1933). Wydana niedawno nowela Mжgmara „Pasterz z dalekich pastwisk” maluje współzależności na linii człowiek — przyroda.

Kształtowanie młodego człowieka jako nowej osobowości, nowego narodowego charakteru interesuje wielu pisarzy mongolskich. Nowela I. Czoidzilsurena „Odważny sokół”<sup>11)</sup> mówi o pierwszym lotniku mongolskim Cz. Szagdarsurenem, którego droga życiowa nierozdzielnie związana jest z rozwojem mongolskiego lotnictwa wojskowego. Akcja przenosi czytelnika w odległy rok 1925. Ciepły majowy dzień. Na ulicach stolicy mongolskiej — jeźdźcy, woły zaprzęgi i z rzadka tylko toruje sobie przez ciżbę drogę samochód. I nagle obraz ten narusza coś niepojętego. Najpierw rozlega się i narasta praca silnika, a w ślad za tym odgłosem zza gór Songino wylania się „żelazny ptak”.

W lata trzydzieste przenosi się także powieść innego mongolskiego prozaika — D. Garmy „Białe źródło”<sup>12)</sup>. Książka poświęcona jest formowaniu się mongolskiej klasy robotniczej w skomplikowanych warunkach historycznych. Kraj w czasach przedrewolucyjnych nie posiadał własnego przemysłu, jego potencjał gospodarczy był bardzo niski. Pisarz ukazuje, jak w miarę budowy zakładu przemysłowego zmienia się psychika ludzi.

O skomplikowanych stosunkach międzyludzkich, o wielkim i prawdziwym uczuciu opowiada tom noweli i opowiadań S. Loezina „Głos ziemi”<sup>13)</sup>. Pieśń życia górniczego Loezina doskonale zna przedmiot, o którym pisze. W ostatniej książce większą swą uwagę poświęca psychicznemu życiu bohaterów.

W roku 1973 wyszedł tom noweli innego znanego pisarza — D. Tarwy „Pierwszy Nowy Rok”<sup>14)</sup>. Bohaterami noweli, która dała tytuł całemu tomowi, są młodzi robotnicy kamieniołomów nieopodal Darchanu. Nowela przedstawia skomplikowane stosunki międzyludzkie w jednej z brygad, która przewyżając trudności wykonuje przedterminem plan. Krytycy zwracają także uwagę na inną nowelę tego tomu — „Dzwoniąca kula”.

W poezji mongolskiej dominowała raczej epika. Ostatnio jednak obok poezji epickiej coraz popularniejsza jest także liryka. Ciepła, delikatna liryka cechuje twórczość B. Jawuuchulana:

Cień — nieodłączny towarzysz,  
Wiadomo od wieków,  
że cień wytrwale stoi przy  
człowieku,  
Kroczy za nim do grobu, jak  
przyjaciel wierny...  
Ale to nie cień, to jakiś dźwięk  
tajemny,  
Usłyszałem w dzieciństwie ten  
głos po raz pierwszy  
W stepie jesiennym, gdzie  
swawolił z jagnięciem,  
Płynął od Changaju, gdzie burza  
szalała,  
Gdzie ojewska jurta niegdyś  
stała,  
Matka wskazała na góry we mgle:  
„Jelenie ryczą na ziemi  
rodzinnej”.

Dużym uznaniem krytyki literackiej i czytelników cieszy się liryczna twórczość S. Dorżpalama, L.

Tarwy, S. Erdene i Cz. Czimidą. Krytyka podkreśla też ogromne obywatelskie zaangażowanie twórczości C. Gajdawa.

We współczesnej poezji mongolskiej przewijają się i wracają wyraźnie pewne tendencje, tematy i motywy. Jednym z takich tematów jest walka o pokój. Prawie u każdego poety poruszającego ten temat odzywa się echa Chalehin-Gol, echa minionej wojny. Głównym jednak tematem twórczości poetów mongolskich jest ojczyzna. Czytając wiersze wielu współczesnych poetów, możemy obserwować zmiany zachodzące na ziemi mongolskiej.

Jedną z charakterystycznych cech twórczości czołowych współczesnych poetów mongolskich jest dążenie do przyswojenia sobie doświadczeń i osiągnięć najwybitniejszych poetów świata. Największy wpływ na literaturę — w tym przede wszystkim na poezję — mongolską wywiera literatura radziecka, głównie twórczość poetów narodów azjatyckich ZSRR, jak np. Rasul Gamzatow (Dagestan), Zulfija (Uzbekistan) czy Musa Dżalil (Tataria).

Wielu poetów mongolskich mocne strony swej twórczości zawdzięcza folklorowi. Tradycje folklorystyczne są na ziemi mongolskiej żywe do dziś. Na tradycyjnych corocznych festiwalach poezji mongolskiej, twórcy ludowi występują obok poetów stosujących całkowicie współczesne środki wyrazu. Właśnie na tych festiwalach, które mają powszechny charakter, odczuwa się ciągłość tradycji, słyszy się żywe słowa starodawnej i wiecznej młodej poezji narodu mongolskiego.

Nie należy mylnie sądzić, że zarówno proza jak i poezja zdominowane są przez produkcyjniaki w złym tego słowa znaczeniu. Autorzy — to doświadczeni pisarze i z reguły udało im się w artystycznej formie odzwierciedlić wszystkie problemy nurtujące tamtejszą społeczność, choć oczywiście zdarzały się niewypały artystyczne. Wiadomo, że wszystkie opisywane procesy zrodziły masę nowych konfliktów, które teraz jednak nie mają społecznie antagonistycznego charakteru, jak to było za czasów feudalnych (a pamiętajmy, że Mongolia nie przeszła przez fazę kapitalizmu i żyje jeszcze pokolenie, które pamięta czasy feudalne), lecz antagonizm leży w płaszczyźnie stosunków międzyludzkich. Właśnie poprzez stosunki międzyludzkie, poprzez psychikę bohatera usiłują tamci pisarze znajdować rozwiązania dla społecznych i obyczajowych problemów. Doprowadziło to do poszukiwania nowych form, nowych tematów, nowych środków wyrazu artystycznego, dążenia do poznania natury konfliktów współczesnego społeczeństwa.

- 1) Giovanni de Plano Carpini (1130—1232), włoski podróżnik, franciszkanin, współtowarzysz św. Franciszka z Asyżu; szerzył nauki franciszkańskie w Niemczech i Hiszpanii. W 1246 roku wyruszył z Lyonu, jako wysłannik papieża Innocentego IV na Dwór Mongolski. Po powrocie w roku 1247 ogłosił „Liber Tartarorum” będącą pierwszym w Europie opisem mongolskich obyczajów, historii i taktyki wojennej.
- 2) Marco Polo (1254—1324), kupiec wenecki, najwybitniejszy podróżnik Środoziemicy. W swych podróżach dotarł do Azji. Jego „Opisanie świata” było do XIX wieku najbardziej wyczerpującym opisem Azji Środkowej.
- 3) Nikołaj M. Przewalski (1829—1881), rosyjski badacz Azji Środkowej. Zorganizował cztery wyprawy do Turkestanu, Tybetu, Mongolii i Chin. Zmarł podczas jednej z wypraw.
- 4) Imię żeńskie.
- 5) S. Udwal: „Ich chuw zajaa”, Ulan Bator 1973.
- 6) Damdin Suche-Bator (1892—1953) rewolucyjny działacz mongolski, od 1919 roku jeden z przywódców walki narodo-wyzwoleńczej, współzałożyciel Mongolskiej Partii Ludowo-Rewolucyjnej; od 1922 roku minister Tymczasowego Rządu Mongolii. Zamordowany przez „zambor” chowca.
- 7) S. Erdene: „Choen chulgany döl”, Ulan Bator 1972.
- 8) Małgorzata Kiełkiewicz: „Współczesna noweliстика mongolska”, Przegląd Orientalistyczny nr 2, 1974.
- 9) P. Chorloo: „Hags”, Ulan Bator, Cześć I, 1971, Cześć II, 1973.
- 10) Z. Sandagaa: „Bang”, Ulan Bator 1974.
- 11) D. Mжgmar: „Otorodn”, Ulan Bator, 1972.
- 12) I. Czoidzilsuren: „Agaaryn zacił znonhor”, „Cog” 1973 nr 5, Ulan Bator 1972.
- 13) D. Garmay: „Gagan Bulaz”, Ulan Bator 1972.
- 14) S. Loezina: „Gazryn duun”, Ulan Bator 1973.
- 15) D. Tarwa: „Ahenay zime döl”, Ulan Bator 1975.



## WYZNANIE

Zobaczyłem cię,  
z cienia wyzwał człowieka,  
Uciekałem — gonil mnie czas,  
jedyna droga wiodła przez przeszkody.

Nie uznaję świata cudów,  
gdzie wodę zamienia się w wino  
i wskrzesza umarłych.  
Lubię świat realnych abstrakcji.

Lecz kiedy patrzę, widzę  
zastygłego w półśmiechu wieźca  
i jego myśl  
odlaną ze szczerzego złota.

## DO MORDERCY

Uderz sztyłem w płuca,  
usłyszysz szczęk powietrza  
i bulgot wrzającej krwi.

Uderz — a może wyskoczy  
mechanik duszy  
i odda ci swoje narzędzia.

Uderz a miłczące  
od tej chwili serce  
powie ci która godzina.

Nie amuć się  
bo i tak  
drzą ci dłonie.



Rys. E. Ingot

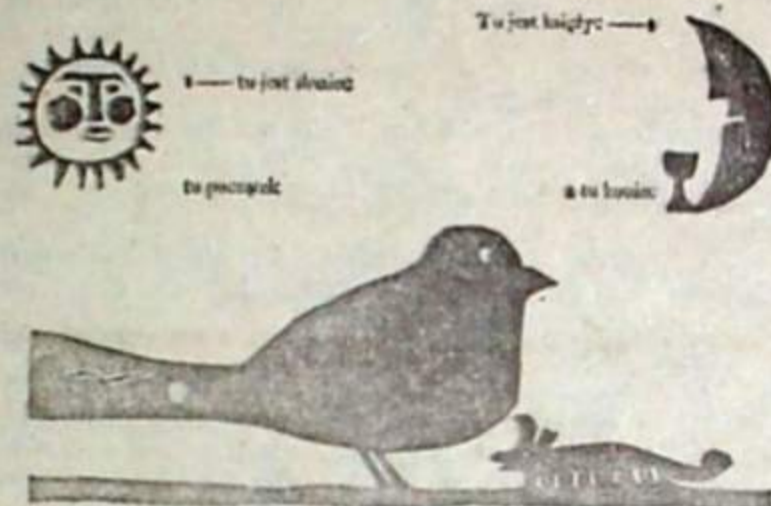
On zabił człowieka.  
Jego głos pociąga strunę czasu  
i wydaje miękki dźwięk nicności.

Słowa jego odejdą w otchłań  
a usta nie będą całować.

Widział drugi raz oczy ofiary  
gdy przyszła do niego  
z Czarną Różą w ręku.

Stanąły zegary,  
zaszyłi ze szczęścia  
niewołnicy pośpiechu  
i zaczęli chodzić tyłem,  
aby zatłoczyć dawne niepowodzenia.

## Konstanty Dłuzina Uczestnik O wróbelku



ek jest mała ptaszyna,  
 ek istotka niewielka,  
on brzydką stonogę pochłania,  
lecz nikt nie popiera ka.

Więc wołam: Czyż nikt nie pamięta,  
że ek jest druh nasz szczerzy?!

Kochajcie ka, dziewczęta,  
kochajcie, do jasnej cholery!

1947



Skład uczynił i linoryty wyrzeźbił mistrz typografii  
optymistycznej  
Andrzej KOT z Lublina  
Drukował Jozef KOT  
ale nie z tych Kotów  
co z Lublina

## Dokończenie ze str. 1

wał młodego słuchacza, rozsmakowując go w dobrej muzyce i dobrym literacko tekście.

Motywy góralskie, muzyka barokowa, bossa nova, rock, a nawet country — to wszystko w wykonaniu braci Zielińskich i ich kolegów świetnie brzmiało i miało głęboki sens artystyczny. Zmieniając kilkakrotnie skład, lider Zieliński dobrał wreszcie w 1968 roku takich muzyków, z którymi może dziś zagrać wszystko, od Correllego do nowoczesnego jazz-rocka. W owych debiutanckich czasach była to bodaj jedyna grupa mająca w swym składzie studentów Wyższej Szkoły Muzycznej, a więc ludzi z odpowiednią wiedzą i smakiem muzycznym. Każdy ich longplay był krokiem naprzód. Wprowadzając nowe elementy od dużej orkiestry symfonicznej

Ci mniej entuzjastycznie nastawieni słuchacze odłożą 80 złotych na lepsze czasy. Nasuwa się dość smutna refleksja — w krakowskim kwintecie zaczyna się po prostu źle dziać. Skaldowie są tym zespołem, w którym wszystko zależy bezpośrednio od lidera, albowiem on jest głównym dostarczycielem kompozycji. Nie chcemy być złymi prorokami, ale wszystko wskazuje na to, że Andrzejowi Zielińskiemu kończą się powoli pomysły. Niegdyś szanujący się kompozytorzy muzyki poważnej wrzucali kiepskie utwory po prostu do pieca. Trudno więc zrozumieć, w imię jakiej idei nagrywa się dzisiaj na płyty miernoty i sprzedaje się je nawet po podwyższonych cenach. (sic!)

Ósmy album Skaldów jest bez wątpienia niewypałem artystycznym, co wydaje się tym smutniejsze, że to właśnie Zieliński figuruje jako jego au-

## Skaldowie



Fot. L. Dzikowski

tor i wykonawca. Grupa sprawiła miłośnikom ciężki zawód serwując, po płytach autentycznie udanych, krążek nadający się od razu na przemiał. A przecież w manifestach artystycznych lider zespołu gromi ślepe powielanie zachodnich wzorów, żąda od rodzimych wykonawców ambitnej twórczości, woła o dobrą muzykę i dojrzałe teksty. Niestety trudno za poezję uznać wypociny w rodzaju:

*Na rowerach jadą pejzaże,  
malowani stoją malarze,  
drzewa frużą do nas na wietrze,  
płyniemy, płyniemy do nich w powietrzu...*

Z żalem stwierdzamy, iż podobne teksty zdeminowały tę płytę.

Jakby na złość ósmy krążek zatytułowali Skaldowie „Sznujemy wspomnienia”. Wypadłoby za pytać: CZYJE? Słuchacze wspominają zespół inaczej — nie poprzez banalne gnębieluchy, ale przede wszystkim ze względu na małe dzieła sztuki w typie „Jutro odnajdę ciebie” czy „Dwadzieścia minut po północy”. Podejrzewamy, iż nawet sam ich twórca ma lepsze wspomnienia.

Na koniec kilka wniosków. Ufając marce Skaldów, zostaliśmy paskudnie oszukani, przez muzyków, których ceniliśmy i cenimy w dalszym czasie dosyć wysoko. Wszystko byłoby może w porządku, gdyby nie ta zaśniedziałą starzyzną i nie te ograne do znudzenia numery.

Cóż w tych warunkach robi słuchacz? Jeżeli nawet zdenerwuje się i zaklnie, gniew jego nie będzie trwał wiecznie, tym bardziej, iż nie pierwsza to i nie ostatnia okazja do zdenerwowania. Rodzimi twórcy naszej rozrywki traktują słuchacza jedynie jako dostarczyciela tantem. Zresztą niezbytich na to dowodów dostarczyli szefowie ZAKR (patrz POLITYKA nr 46 z 12 listopada ub. r.). Nam jako odbiorcom produktu zwanego rozrywką pozostaje raz jeszcze zaufać braciom Zielińskim, mając na uwadze fakt, że być może nie złożył jeszcze oręza i nie powiedział ostatniego słowa. Wolno nam przeto w swej naiwności sądzić, że nieszczerzy ósmy krążek jest wynikiem przejściowego kryzysu formy, a podmuchy halnego przyniosą naszym zakoplańczykom nowe natchnienie i atrakcyjne pomysły.

Marian Aleksandrowicz  
Istvan Grabowski

# POD PARAGRAFEM

## Potrzebna benzynowa profilaktyka

**C**O pewien czas, niestety — dosyć regularnie, wpływają na wokandy sądów tak zwane sprawy benzynowe. Dotyczą one nadużyć, popełnianych „solidarnie” przez pracowników stacji CPN i kierowców zatrudnionych w sektorze uspołecznionym. Zazwyczaj są to sprawy wieloosobowe, zaś nadużycia idą w setki tysięcy złotych, gromadzone latami bezkarnej „lewizny”. Dostę słaba pocieszenie stanowi w tych przypadkach fakt, że nadużycia oraz ich sprawcy zostają w końcu wykryci i ukarani. Straty bowiem mienia społecznego są znaczne, koszty procesów również, pełne zaś odzyskanie tych kwot od autorów przestępczego procederu nie zawsze możliwe.

Przeglądałem niedawno w sądzie akta jednej z takich spraw. Oskarżonych jest siedemnastu — trzech agentów stacji benzynowej, ośmiu kierowców, czterech operatorów ciężkiego sprzętu budowlanego, jeden wiertacz, jeden magazynier. Głównemu z oskarżonych, agentowi CPN, zarzuca się przywłaszczenie kwoty ponad 490 tysięcy złotych, przy współudziale... ponad 70 kierowców, na szkodę 13 przedsiębiorstw, w okresie przeszło trzech lat.

Znaczna większość spośród oskarżonych odpowiada z wolnej stopy — za poręczeniem majątkowym. Wobec innych, zamieszanych w tę aferkę, umorzono śledztwo na mocy amnestii lub przedstawiono zarzutów ze względu na znikomy stopień społecznego niebezpieczeństwa czynu (jednorazowe kilkusetzłotowe nadużycia).

Okazje do tego rodzaju przestępstw stanowią zazwyczaj nadwyżki paliwa wygosparowane przez kierowców. Przy pomocy kombinacji z fałszowaniem rachunków na stacjach benzynowych nadwyżki te są „sprzedawane” przedsiębiorstwom zatrudniającym nieuczciwych kierowców. „Zyski” zaś dzielone między kierowców i agentów CPN. Fałszuje się nie tylko ilości pobranej paliwa, ale i daty tankowania, żeby ułatwić „rozliczenia”. Zimą agent dostawał za litr benzyny, „wygosparowanej” tym sposobem — 3 złote, latem — 2 złote.

W sprawie, o której piszę, smutne jest jeszcze i to, że w przestępstwie uczestniczyli kierowcy i operatorzy ciężkiego sprzętu budowlanego, zatrudnieni przez przedsiębiorstwa budujące Lubelskie Zagłębie Węglowe, inwestycję, z której, słusznie skądinąd, jesteśmy dumni.

I druga smutna kwestia. Oskarżeni to nie jakiś społeczny margines, znany milicji z pasywnego trybu życia, nalogowego pijaństwa, częstych wykroczeń, karalności, ale zwyczajni, zdawałoby się, porządni ludzie, oicowie dzieciom, posiadający bardzo dobrą opinię w zakładach pracy, gdzie są zatrudnieni. Czytam ich opinie. Przez milicję nie notowani. Sądownie i administracyjnie nie karani. Kontaktów z elementem przestępczym nie utrzymują. Nalógów społecznie szkodliwych nie stwierdzono. Ideologicznie bez zarzutu.

Tymczasem sfalszowane rachunki idą w setki sztuk, „zarobione” kwoty rosną z biegiem czasu w grube tysiące. Trudno więc mówić w stosunku do głównych oskarżonych o chwilowej słabości, aczkolwiek gdy się trochę przypatrzyć sprawom sądowym, to widać, że człowiek jest w ogóle istotą słabą i działalność profilaktyczną, zapobieganie przestępstwom, ma zawsze głęboki sens.

Co się zatem dzieje? Ano właśnie — działalność profilaktyczną! Jesteśmy przyzwyczajeni że zajmują się nią organa wymiaru sprawiedliwości. Ale przecież profilaktyka to również taka organizacja niektórych odcinków naszego życia społecznego, żeby nie stwarzać okazji do przestępstwa — to dobrze zabezpieczone przed włamaniem sklepy, należycie strzeżone zakłady pracy, prawidłowo działający aparat kontroli wewnętrznej w przedsiębiorstwach...

Weźmy choćby właśnie kontrole wewnętrzne. W opisywanej sprawie to nie inspektorzy CPN wykryli nadużycia, lecz milicja drogą operacyjną. Kontrola CPN przyszła dopiero potem, kiedy i tak zaczęło już być „gorąco”. Nie jest społeczną tajemnicą, że posada agenta stacji benzynowej „kosztuje” grube tysiące. Komu są one wpłacane i dlaczego się to agentom kalkuluje, skoro na przykład główny oskarżony w tej sprawie zarabiał po przeszło 12-letnim stażu pracy — według oficjalnego zaświadczenia CPN — 2890 złotych? A miał na utrzymaniu pięcioro dzieci, niepracującą żonę, zdezelowaną warszawę i jeszcze bardziej zdezelowaną jawę.

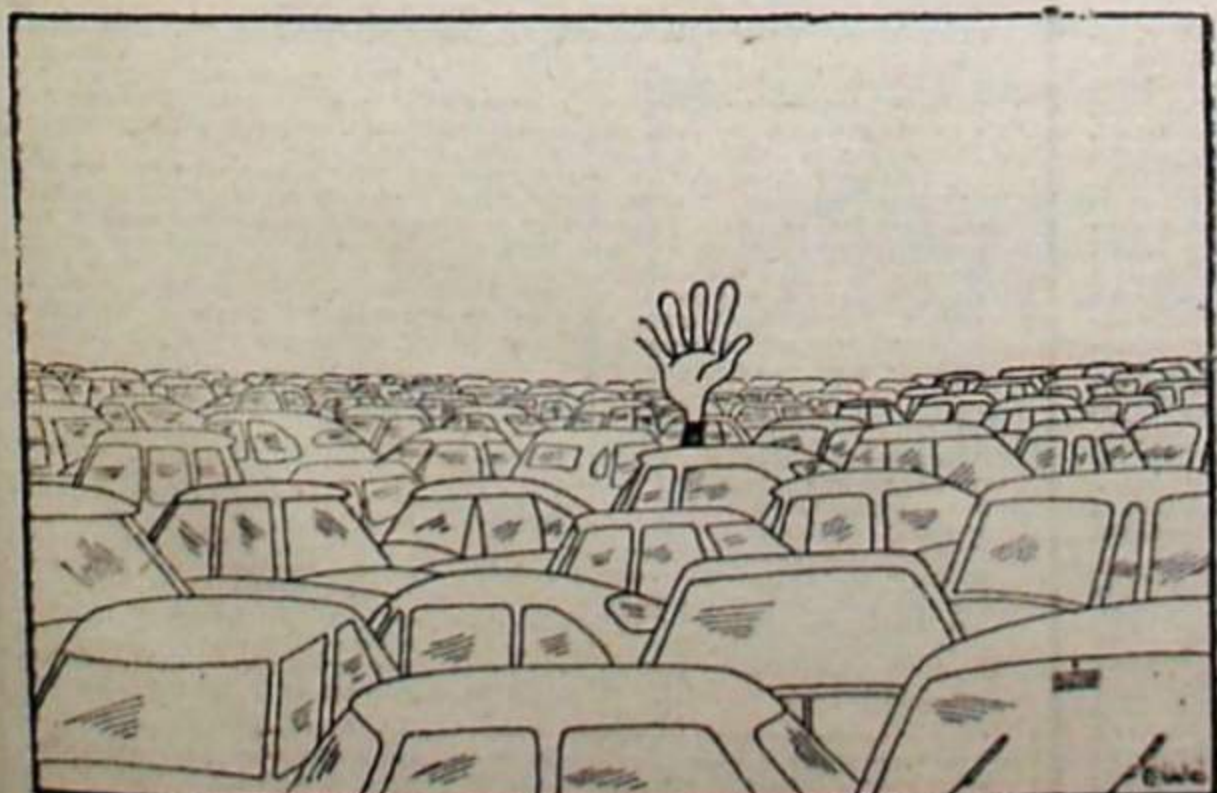
Następna kwestia — nadwyżki wygosparowane przez państwowych kierowców. Zdarzają się przypadki, iż kierowca ma nadwyżki paliwa, „wygosparowane” drogą nieuczciwą. „Wyżyłowanie” gaźnika ze szkoda dla silnika czy bardzo powszechne wśród instruktorów „nauki jazdy” rozliczenie się z kursantami według jazd 45-minutowych, zaś z benzyny według jazd godzinnych. To wszystko jest jeszcze kwestią kontroli wewnętrznej.

Ale przecież bywa, że kierowca ma nadwyżki paliwa, wygosparowane drogą mądrej, oszczędnej jazdy. Czyżby obawa przed obniżeniem norm spalania benzyny w przedsiębiorstwie lub w ogóle wady gratyfikowania kierowców za oszczędności paliwowe stanowiły podłoże przestępczego procederu?

I jeszcze ostatnia kwestia. Paliwo potrzebne też jest operatorom ciężkiego sprzętu budowlanego i wiertaczom posługującym się wiertarkami spalinowymi. Jak się okazuje, oni też bywają nieuczciwymi klientami nieuczciwych agentów CPN. Właściwy nadzór nad wydajnością i zakresem wykonywanych robót ziemnych czy załadunkowych mógłby uchronić źródło „lewych” zarobków.

Jeśli bowiem człowiek bywa istotą słabą, to warto czasem wiedzieć, co ona porabia.

pom



Rys. W. Fuglewic

## Epicki traktat o moralności

**J**AK przystało na ambitnego pisarza, Zbigniew Domino w ostatniej swej książce podjął próbę dyskusji nad normami etycznymi współczesnego człowieka. Epicka dysputa ma znak dzisiejszości bardzo czasowo nam bliskiej. Autor zamknął pracę nad „Złotą pajęczyną” w kwietniu 1976 roku. Jedną z bohaterów nosi modne jeszcze teraz, wytarłe dżinsy. A więc mamy książkę, o jaką zawsze nam chodziło, nie zleżałą w wydawniczych katakumbach, nie cedzoną w nieskończoność przez edytorskie sита bez dziurek. Domino nie pisze do szuflady, jak to czyni ponoć wielu pisarzy. Można mu tego pogratulować.

Rzeszowski twórca w pełni skorzystał z tych sprzyjających okoliczności. Zamieszkał trochę w wielkiej kadzi życiowej, której na imię moralność. Jego bohaterowie usiłują odpowiedzieć na odwieczne ludzkie pytania: Co to jest szczęście? Co to jest miłość? Jaka jest cena prawdy? Domino trochę demonizuje sprawę, usiłując obarczyć ciężarem odpowiedzi na te ogromne pytania wyłącznie mężczyzn. Na szczęście, Roman Dolina (z pokolenia entuzjastów, rocznik trzydziesty) rodem z Kalinowej, później oficer milicji, obecnie redaktor, nie wygłasza tragicznej formuły: prawdą jest, że nie mam żadnej prawdy! Ma swoje prawdy, które ukształtował zaangażowany w polskie życie życiorys.

Kogo wybrać, Ewę czy Krystynę? Ewa to młoda lekarka w dżinsach. Krystyna jest żoną Romana. Gdy zawarł z nią małżeństwo, Ewy jeszcze nie było na świecie. Los dwóch kobiet, ich szczęście, znajduje się w rękach jednego mężczyzny. Kto dał takie prawo? Prawda uczucia. Czy ona wystarcza? Czy nie obowiązuje zwyczajna, ludzka wierność? Ze

przyrzeczenia, że obwarowana małżeńskim ślubowaniem, że przez to staroświecka, niemodna? Czy etyka ma kierować wyłącznie fizjologią? Trudne to problemy, nikomu nie obce. Jedni potrafią je ukryć, stłamsić, zdusić. Drudzy chcą być wierni prawdzie, ujawniają nowe uczucia, które nieoczekiwanie stają się dla nich, ludzi świeckich, rozgrzeszeniem.

Dosć desperackie jest wyznanie młodej lekarki: „W końcu wolno mi spać, z kim zechcę. Wolno mi! Nie jestem niczyją własnością!” Takie ustalenie sprawy jest bardziej niż dyskusyjne. Może wzbudzić sprzeciw, może też wyzwoleń aprobatę, której społeczne konsekwencje są łatwe do przewidzenia. Ewa musi przecież powiedzieć i tak jeszcze: „Dlatego tak mało mnie obchodzi, co kto sobie o mnie pomyśli”.

Motorem życia ludzkiego jest miłość. Roman myśli o niej ustawicznie, przypomina sobie jej rozliczne odmiany, odsłania jej wzloty i najniższe upadki (historia młodej dziewczyny, którą zmuszono do małżeństwa z wdowcem posiadającym dwóch dorosłych synów, którzy na równi z ojcem żyją z młodą macochą jest wstrząsająca). Trudno jest odpowiedzieć na pytanie o ostateczny kształt tego uczucia. Skoro bezsprzecznie ono istnieje, to czy musi być ślepe i nie musi liczyć się z niczym? Ani z opinią środowiska, ani z sądami najbliższych, ani z moralnością, ani z różnicą wieku? Zbigniew Domino miesie nam te pytania i dobrze się stało, że nie daje na te etyczne znaki zapytania jednoznacznej odpowiedzi.

Łatwiej ją było autorowi wyłożyć w odniesieniu do matki, ojca, do rodzinnej, bieszczadzkiej wioski. Tutaj nie ma moralnych pytań, etycznego rozdroża. Najwyższe wartości: rodzice i ojczysta ziemia okazują się moralnymi monumentami, w stronę których należy się zwracać. Wtedy życie nie będzie zbieganiem okoliczności, nie będzie pajęczyną z szamotającym się wewnątrz człowiekiem.

Emil Biela

Zbigniew Domino: „Złota pajęczyna”. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. W-wa 1977, str. 317, cena 25 zł.

# PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

Berło ofiarowane w dniu 28 bm. Matejce składa się z laski hebanowej owiniętej spiralemi wstęga srebrna, na której wyrzyty jest napis „Janowi Matejce krakowiakowi jego rodzinie miasto R. P. 1878”. Rekołesie laski jest srebrna, ozdobiona, kunsztownymi rytmi arabeskami i konczy się złotą główką. Główna część berła stanowi kaptel złoty, na którym spoczywa wierzchołek ze srebra oksydowanego, w której płonie złoty płomień. U dołu nad rekołesie osadzona jest złota obręcz, na której umieszczone są z jednej strony pąka malarska i niedrle, zwój dyplomatorów i monogram Matejki, z drugiej herb miasta Krakowa: dokoła wyrzyty napis „Za prezydenturę M. Zwiłbiłewicza”. Robota złotnicza jest mistrzowska, a niektóre szczegóły są tak piękne, iż przywołują swiętą epokę Benvenuto Cellini.

„Kurier Lubelski”

Miasto Lublin wraz z przedmieściami: Czwartkiem, Kalinowszczyzną, Sierakowszczyzną i Piaskami według ostatnich wiadomości statystycznych liczy przeszło 787, domów mieszkalnych 1657 a w tej liczbie mieszczących 696 i drewnianych 771. Ludność stała wynosi mężczyzn 11388, kobiet 12988. W mieście znajdują się: cerkwi prawosławnych 3, kościołów rzymsko-katolickich 13, kościołów ewangelickich 1, kaplica prawosławna 1, katolicka 1, Zakłady naukowe: seminarium rzymsko-katolickie, gimnazjum męskie, gimnazjum żeńskie, szkoła początkowych ośmioklasz. 2, katolickich 2, ewangelicka 1, bractwa 1, oświatowo-handlowa 1, nieodpłatno-przemysłowa 1, zakładów naukowych arcywotnych 5, Zakłady dobroczynne: szpital 4, domow przetrwa 2, ochron 3, Placow targowych 2, karczmy miejskich 2, Fabryki młynarskie 2, wapińskie 2, koczowniczych 2, szpicerów 1, wódek 4, browarów 4, fabryk mydła

I święc 2, garbarnia 1, wapielnia 1, cegielnia 3, nadto na stacji drogi żelaznej znajdują się warsztaty do reperacji maszyn.

„Gazeta Lubelska”

PRZED 50 LATY

Sprawa wprowadzenia nowego podatku od sztydów, projektowanego od dawna przez Magistrat, staje się coraz bardziej aktualna i ostatecznie była szczegółowo omawiana na posiedzeniu Stowarzyszenia Kupców Polskich w Lublinie. Strefy kupieckie Lublina zajęły stanowisko w tej sprawie zasadniczo orzecznive i wyraziły opinie, że jeżeli Magistrat rzeczywiście wprowadził tak wysokie podatki od sztydów, jak to jest w projekcie, to wszyscy kupcy chcą się uwolnić od nowej daniny z pośród i tak już wielu nabożnych — zdaniem znad skłenów i innych zakładów handlowych sztydy duże, a parokładają małe sztydziki — oczywiście ze względu na oszczędnościowych. Nie wiemy, jakie stanowisko zajmie Magistrat wobec wyrażenia opinii w tej sprawie ster kupieckich my ze swej strony dodaliśmy tylko, że zalecie sztydów dużych, a wprowadzenie małych powiększy jedynie ostrokażone na ulicach i przyczyni się do oszczędzenia i tak niezbyt estetycznego w pewnych miejscach wyglądającego miasta.

„Głos Lubelski”

Wielu zapewne mieszkańców Lublina nie wie, że miasto nasze posiada na Bronowiczach nad brzegami Czarniełowskiej (w. Iazienki) miejskie. Być może się to dzie winy samego Magistratu. Bowiem miasteczko to i gmach były przeznaczone początkowo dla dokonowania Brzentfekeli na czas panowania chorób zakaźnych. Okazało się jednak z czasem, że jest to zbyt małe i dzieki temu urządzenie wewnętrzne gmachu nierzadko na Iazienki. Biedowa tego gmachu okazała się przeszło 5 lat i ochłonęła wydatki w sumie 30000 zł. Doniesio 15 września 1926 r. otwarto bieżnik dla potrzeb publicznych. (...) Miejski zakład kąpielowy na Bronowiczach posiada 4 wanny z natryskami, 5 waniek bez natrysków, oraz 14 natrysków ogólnych. Niektóre noszą nazwę, nazwę 1 natryskowy leśnikowy, Frekwencja cieża od 2000 do 3000 osób miesięcznie, przeważnie ze sfer robotniczych. Dale to (niektórzy) więcej 1000 zł miesięcznego dochodu, co jest warteżniejszą na zaspokojenie potrzeb zakładu.

„Ziemia Lubelska”

Wybrała: Anna Orzechowska



# POCZTA LITERACKA

**S. A. Mostki Nalępy.** Kiedy się zaczynać...  
 S. A. Mostki Nalępy. Kiedy się zaczynać...  
 S. A. Mostki Nalępy. Kiedy się zaczynać...

**B. R. Białowieża.** Nad umartwym dołem...  
 B. R. Białowieża. Nad umartwym dołem...  
 B. R. Białowieża. Nad umartwym dołem...

**L. M. J. Kalobrzec.** Sprzeżoności nie ma...  
 L. M. J. Kalobrzec. Sprzeżoności nie ma...  
 L. M. J. Kalobrzec. Sprzeżoności nie ma...

**K. Z. Kielec.** Z nadesłanych wierszy...  
 K. Z. Kielec. Z nadesłanych wierszy...  
 K. Z. Kielec. Z nadesłanych wierszy...

**M. B. Poznań.** Przypuszczam, że dwa...  
 M. B. Poznań. Przypuszczam, że dwa...  
 M. B. Poznań. Przypuszczam, że dwa...

**P. S. Zamość.** Choć na większość, to...  
 P. S. Zamość. Choć na większość, to...  
 P. S. Zamość. Choć na większość, to...

**S. H. Lublin.** Wierzywa się w tych...  
 S. H. Lublin. Wierzywa się w tych...  
 S. H. Lublin. Wierzywa się w tych...

**G. W. Hrubieszów.** Nie namawiam do...  
 G. W. Hrubieszów. Nie namawiam do...  
 G. W. Hrubieszów. Nie namawiam do...

**P. R. Stalowa Wola.** Bardzo lubię powieści...  
 P. R. Stalowa Wola. Bardzo lubię powieści...  
 P. R. Stalowa Wola. Bardzo lubię powieści...

**J. G. Słonek.** „Miniatury Błyszczące”...  
 J. G. Słonek. „Miniatury Błyszczące”...  
 J. G. Słonek. „Miniatury Błyszczące”...

**A. B. Lublin.** Przeczytałam uważnie i...  
 A. B. Lublin. Przeczytałam uważnie i...  
 A. B. Lublin. Przeczytałam uważnie i...

**S. G. - B. Gubałowy Wierch, B. S. Gdańsk-Oliwa, J. S. Lublin, R. G. Łódź**...  
 S. G. - B. Gubałowy Wierch, B. S. Gdańsk-Oliwa, J. S. Lublin, R. G. Łódź...  
 S. G. - B. Gubałowy Wierch, B. S. Gdańsk-Oliwa, J. S. Lublin, R. G. Łódź...

# Szyfrogram (nr 3)

Na odgadnięciu wyrazów pomocniczych...  
 Na odgadnięciu wyrazów pomocniczych...  
 Na odgadnięciu wyrazów pomocniczych...

## Wyrazy pomocnicze

- 12, 55, 43, 118, 123, 7 - sportowy zegarek,
- 8, 50, 21, 148, 101 - zmiana frontu stania,
- 3, 16, 25, 58, 35 - rezerwa dowoźcy,
- 18, 12, 19, 32, 58, 76 - najwyższy punkt góry,
- 48, 1, 141, 23, 59 - zapowiedź ogłoszenia,
- 19, 91, 44, 6, 58 - super, wiązanie,
- 17, 37, 96, 116, 128, 43 - przerwa między drukowanymi słowami,
- 3, 53, 124, 62, 71 - do jazdy szybkiej i figurewnej,
- 22, 61, 142, 24, 121 - taktyczne wycofanie wojsk,
- 23, 60, 48, 27, 11 - wysięgowe i podługowe zwierzęta,
- 25, 66, 47, 5, 116, 86 - ubranie,
- 41, 63, 1, 87, 22, 9 - krajina z mniejszością stowiańska w NRD,
- 49, 26, 150, 44, 123, 15 - czterwarty solenizant,
- 29, 107, 92, 103, 131 - do mycia i prania,
- 75, 111, 72, 83, 122, 14 - plastyczne przedstawienie abstrakcyjnego polecenia,
- 54, 42, 97, 104, 112, 69 - grabieżowa najwadsza część skóry,
- 79, 103, 28, 70, 138 - przedstawiciel PZU,
- 59, 30, 99, 114 - pismo literackie w Polsce międzywojennej,
- 60, 24, 87, 125, 140 - jego rumaki są w tytule książki Kosidowskiego,
- 117, 109, 146, 105, 78, 31, 51 - myśliciel, filozof,
- 26, 63, 57, 77, 73, 147 - groza filmowa,
- 84, 28, 94, 68, 81 - rosną wysoko, jak pan leży głęboko,

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15
	16	17		18	19	20	21	22	23	24	25		26	27
28	29	30	31	32	33	34		35	36	37	38	39	40	41
42	43	44	45	46	47	48	49	50	51	52	53		54	55
57	58		59	60		61	62	63	64	65	66	67	68	69
71	72		73	74	75	76	77	78	79	80	81		82	83
85	86	87	88		89	90	91		92	93		94	95	96
	98	99	100	101	102	103		104	105	106	107	108	109	110
		112	113	114	115	116	117		118	119	120	121	122	123
124	125	126		127	128	129	130	131	132		133	134	135	136
137	138	139	140	141	142	143	144		145		146	147	148	149

82, 113, 93, 123 - śmierć,  
 98, 120, 119, 129, 127 - murzyn z plemienia bantu,  
 127, 134, 100, 38 - miasto nad Jez. Roś,  
 150, 64, 144, 142 - w strzykawce,  
 150, 64, 142 - mała tabelle,  
 149, 85, 128, 106, 95 - huska naboju,  
 126, 136, 74, 90, 132 - rośliny motylkowa.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 1 był fragment powieści Wiktora Hugo „Bug - Jarska”...  
 „Wygłądał na lat trzydziści, ale daleko mu jeszcze było do tego wieku. Mimo że od dłuższego już czasu walczył w szeregach republikańskich, nikt nie znał tego przygód”...  
 Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 1 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Jolanta Brzustowska 20-314 Lublin ul. Motławska 3 m. 33, Sławomir Mek 21-648 Siedlce, ul. 1 Maja 6/15 Krystyna Pietras, 26-035 Lublin, ul. Laniewicza 20 F. Lucjan Rudnicki 22-400 Zamość, ul. H. Sawickiej 27 b. Mieczysław Morski 20-147 Lublin, ul. Morzyckiej 1.



## „GDZIE MA BYĆ „PSZCZÓŁKA?”

Upewniam informuję, że w związku z artykułem pt. „Gdzie ma być „Pszczółka”, zamieszczonym w nr 33 „Kamery” z dnia 13.XI.1977 r. powołalem komisję do zbadania poruszonych spraw...  
 Jak wynika z oceny komisji, nadajnik znajdujący się w wagonie kolejowym w Deblinie nie jest popularną „Pszczółką” a został wybudowany po roku 1953. Nie ma również możliwości zrekonstruowania nadajnika „Pszczółki” z uwagi na brak dokumentacji, oraz oryginalnych części i elementów montażowych produkowanych jeszcze w okresie wojny. Nie ma także pewności, że wagon w Deblinie jest wagonem oryginalnym, w którym znajdował się nadajnik.  
 Rozgłośnia Lubelska poinformowała mnie, że czynione będą starania o znalezienie żyjących świadków tych wydarzeń m. in. w programie „Świadkowie”.

Z pozdrowieniem  
**mgr Stanisław Bora**  
 Prezydent m. Lublina

## „RELIACJA DOWÓDCY ARMII „LUBLIN” Z WALK W 1939 R.”

Na marginesie relacji gen. d. w. Tadeusza Piskora, dowódcy armii „Lublin”, pragnę wspomnieć, że zakradła się tam mala nieścisłość, którą zgodnie z historią pragnąłbym sprostować. W końcowej części tej relacji, zamieszczonej w 26 numerze „Kamery”, czytamy:  
 „Najlepiej przedstawiali się oddziału 23 dyw. p., np. 2 p.p. liczył jeszcze 1100 ludzi,

ale wszyscy już byli u kresu sił”...  
 Chciałbym nadmienić, że 2 p.p. nie było w 23 dyw. p. Dywizja ta stacjonowała w Katowicach i składała się z następujących pułków piechoty: 11 p.p. (Tarnowskie Góry), 73 p.p. (Katowice) i 75 p.p. (Chorzów). Wszystkie te pułki były w ramach armii „Kraków”. Natomiast 2 p.p. leg., pod dowództwem płk. Ludwika Czyżewskiego (obecnie generała brygady w stanie spoczynku), był w armii „Łódź” i miał inny szlak bojowy, 5 września 1939 roku stoczył on krwawą bitwę pod Borową Górą, a następnie powstrzymywał partie sił niemieckich pod Zakrzewem i w Modlinie. Nie mógł on znaleźć się na Lubelszczyźnie pod Aleksandrowem. Mógł tam być natomiast 20 p.p. (z Krakowa), bądź 12 p.p. (z Wadowic) obydwa z grupy gen. Boruty-Spiechowicza (6 dyw. p.), bądź któryś z pułków 55 dyw. p. rezerwy, jak 201 p.p. rez., 203 p.p. lub 204 p.p. rez. - wszystkie z grupy gen. Sadowskiego, armii „Kraków”.

Możliwe, że zaistniał tu błąd maszynowy, zamiast 20 p.p. przepisano 2 p.p.

**Stanisław F. Rost**  
 Lublin

## O MUZYCE

W Nowym Roku przesyłam redakcji serdeczne życzenia pomusności, a przy okazji dziękuję za regularne, konsekwentne zajmowanie się muzyką młodzieżową. Pan I. Grabowski często przy tym krytykuje różne sprawy i sprawy i tego terenu i z „Estrady”. Oby tak dalej!

**Henryk Pazura**  
 Rzeszów

## DOBRE KARMIA

Nie tak dawno temu „Kamera” w drukowała list czytelnika, krzykacza jakaś restauracja ajencyjna koło Pulaw. Myśle więc, że i moja korespondencja nie trafi do kosza, choć chwalić w niej, Chwałę świetnie jedzenie - co za karoie w smielanie! - które serwuje swoim gościom aienka restauracji „Pod Skarpą” w Klementowicach (tęż kierunek puławski).  
 Przy okazji kolejnej reformy nozel kuchanej gastronomii (przejęcie barów i re-

stauracji przez „Społem”) nasuwa mi się pewna uwaga o szerszym charakterze. Oraz wydaje mi się, że o tym, czy knajpka dobrze obsługuje konsumenta, czy też nie decyduje nie tyle styl i przepisanie organizacyjne - lokal państwowy, spółdzielczy lub prywatny - ale po prostu kultura i rzetelność personelu. A pod tym względem pani Barbara Jopek z Klementowic może być znakomitym przykładem.

Zachęcam do odwiedzin restauracji „Pod Skarpą” - dojazd wygodny, obsługa miła.

**Zbigniew Jawor**  
 Lublin

## CHWAŁĘ „BRONOWICE”

Niejednokrotnie miałem okazję ponarżać na naszą służbę zdrowia, więc z tym większą przyjemnością chciałbym pochwalić: zakład przyrodolecznicy na lubelskich Bronowicach. Stary budynek tak rzetelnie przystosowany do roli zakładu kąpielowego z prawdziwego zdarzenia, że trudno ucieczyć. Najbardziej, że to białe - kąpiele borowinowe, kwasowęglówki, masaże, biele, wodne, diadynamie - nie czoła się zburz dłoń, bo wszystko tutaj jest dobrze zorganizowane. Gduby jeszcze nieco lepiej ostrzeżeno poczekalnii dla osób po zabiegach!

**Marian Góra**  
 Lublin

## JESZCZE W SPRAWIE ZALEWSKIEGO

Przeczytałem w „Kamery” list czytelnika, który sugeruje, aby nazwiskiem Stanisława Zalewskiego nazwać jedną z ulic Włodawy, bo w pobliżu tej miejscowości urodził się wspaniały malarz. A mnie się wydaje, że „swoją” ulicę poświęcił młody Zalewski w Warszawie, gdzie studiował i mieszkał przez całe dojrzałe życie. W ostatczności Lublin mógłby ulicę uhonorować człowieka, który uczęszczał w tym mieście do szkoły średniej i czerpał „kazi gród” malował i rysował. Włodawa jest chyba zbyt małym ośrodkiem.

**Jerzy Procajłowicz**  
 Warszawa

**Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich**  
**Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski**

Redaguje zespół: Maria Rechezye-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunta Małkowski, Zygmunta Mikulski (kierownik działu literackiego) - członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny - Irena Komosa, korektor - Ewa Dybek.  
 Prenumerata za kraj przysila Oddział RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele - w terminach:  
 - do 25 listopada na styczeń i kwartał, i półroczu roku następnego i na cały rok następny,  
 - do dnia 10 listopada poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.  
 Cena prenumeraty rocznej - 78 -  
 Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW PRASA-KSIĄZKA-RUCH”  
 Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.  
 Prenumerata za granicą wysyła się za granicę, która jest o 80% droższa od prenumeraty krajowej; przyjmuje RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” Centralna Kolportaż i Wydawnictwo i zastrzeżenia ust. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 151-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.  
 Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzeżenia ust. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-18.  
 Włodawa RSW Prasa Książka Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Unieka 4. Zam. 278, J-4.

Numer tamal Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1  
 Telefon: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, z-ca red. nac., dział publicystyki i literacki 275-35.  
 Korespondencje zwykle kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe - pod adresem redakcji.

Nr indeksu 36331

minuta myślenia

Podszewka na wierzchu

Nie wiem jak kto, ja jestem tak opieku...

grał wcale. A co powinno charakteryzować...

„Coż to za młodzien, który odzian w szatki...

Zachodzi pytanie czy rzeczywiście ten spo...

Interpretacja, komentarz, w odniesieniu do...

P.S. „Nastolatki”. Tu też nikt nie potrzebuje...



Obwies

Rys. W. Fuglewicz

Bogusław Wiczorek

MYŚLI

Nie do rzadkości należą krzykacze mówiący tylko szeptem.

Nie trzeba mieć skrzydeł, żeby bujać w obłokach.

Zamknięci w sobie też czasem wychodzą z siebie.

Latwo zdobywać laury, gdy się nie odnosi sukcesów.

Zmiana dekoracji obejmuje także dekoratorów.

Najlepszym brzuchomówcą jest niemowa.

Gdyby tak głos sumienia można nagrać na taśmę magnetofonową.

W dobie rozwoju farmaceutyki na upór wciąż nie ma lekarstwa.

Niedopatrzona spowodowane są często przymykaniem oczu.

Gwóźdź programu był oklepiany.

Smuci nagroda pocieszenia.

Krok naprzód można zrobić w tył.

Nieraz zimny drań daje się zapać na gorącym uczynku.

Casanova Pamiełtniki rys Krystyna Wójcik

